



ROK LVIII

PRZEGLĄD KOBIECY  
TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 31

WARSZAWA, 1 SIERPANIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O promień słońca dla wszystkich—C. W. Kształcenie kobiecości—L. Konopacki. Kongres międzynarodowej Rady w Waszyngtonie (c. d.). Działaczki okresu konspiracyjnego (dok)—Helena Ceyssingerówna. Conrad o księciu Rómańcie Sanguszcze—(dok)—K. Bielańska. Świat kobiecy (część II) c. d.—Marja Grossek-Korycka. Wiersze: „Echo”—Chr. Rossetti Tydzień w Lubelskiem (c. d)—Marja Dąbrowska. Idylla na Arktyku (c. d.)—Juljusz Wirski. Zatrzymany zegar (pow eść) c. d.—Wanda Miłaszewska. Zagadnienia psychiki u zwierząt—Janina Maszewska Knoppe. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Refleksje—K. S. Dział praktyczny: Mody i roboty. Najmodniejsza poduszka. Sporty i moda „a la garçonne”—W. Wyroby ludowe—A. Zaleska. Higijena dziecka (c. d.)—A. K. Pielęgnowanie agrestów i porzeczek—Stan. Schönfeld. „Przypadek matką wynalazku”—J. S. Szanowanie swego i cudzego czasu—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Siostra Walerja” (dok)—Emanuel Castelbarco—(przeł. z włoskiego Tadeusz Jakubowicz). Komunikat Biura Prasowego dla Spraw Kobięcych. ARKUSZ WZORÓW.

## O PROMIENIĘ SŁOŃCA DLA WSZYSTKICH



ojna wytrąciła z łożyska robotę społeczną tych kulturalnych środowisk Europy, które przodowały zawsze pomysłowością w kierunku stwarzania instytucyj dobra ogólnego i darem sprężystej ich organizacji. Z konieczności wszelki wysiłek altruizmu, zwrócony być musiał w stronę potrzeb wojennych — pomocy żołnierzowi i ofiarom wielkich, nieprzewidzianych katastrof.

Obecnie praca dla dobra ogólnego wraca powoli do norm dawnych, wlewa się w zamarte chwiłowo koryto. Oparta na poprzednich drogowskazach, pełna jest nowych poczynań i zamierzeń.

Jedną z trosk, które w ostatniem pięćdziesięcioleciu gorąco przejmowały umysły działaczy społecznych, było szukanie możliwości zapewnienia letnich wyczasów najszerzym warstwom ludności.

Jak Ludwik XIV chciał być widzieć kurę w garnku każdego miejskiego i wiejskiego wyrobnika, tak marzyciele społeczni z końca dziewiętnastego wieku pragnęli, aby nie było człowieka, któryby choć przez kilkanaście dni raz do roku nie wchłonął pełną pierśią swobody i wolności.

Najpierw pomyślano o nieletnich.

Jakieś 49 lat temu pastor Bion z Zurichu wywodził po raz pierwszy grupę, złożoną z 60-ga dzieci

w słoneczne doliny Alp, wrywając małąletnią nędzę z paszczy zaduchu miejskiego.

Było to zapoczątkowanie kolonij letnich, które wkrótce później opasały siecią dobroczynną wszystkie cywilizowane kraje obu półkul świata, mając na celu nie tylko wzmacnianie młodzieńskich organizmów, ale także — krzepienie serc i umysłów przez bezpośrednią styczność z przyrodą.

Niemcy, gdzie kolonje takie powstały w 1844 r., wysyłały przed wojną 40000 dzieci, a 230 lekarzy pracowało w komitetach opieki nad letniskami dla małąletnich. Danja zapewnia wczasy jednej trzeciej uczniów i uczenic szkół swoich. Zadanie ułatwiają tam właściciele mniejszych posiadłości, przyjmując dzieci wzamian za drobną pomoc w zajęciach wiejskich, przyczem państwo zapewnia im przejazd bezpłatny koleją i statkami. Włochy liczą 60 z górą kolonji zarówno w górach, jak i nad morzem.

Na najwyższą skalę zorganizowała wczasy letnie dzieci Anglja, gdzie najstarsze z towarzyszt „The Children Country Holidays Fund to provide fresh air for ailing London Children” (Wakacyjny fundusz dla dostarczania chorym dzieciom Londynu świeżego powietrza) składało się w okresie przedwojennym z 55 komitetów, związanych z komitetem centralnym, do którego należeli członkowie najwyż-

szych sfer towarzyskich, wysyłające z samego Londynu na wieś 35.000 dzieci. Inne towarzystwo „The Children frish air Mission“ (Misja świeżego powietrza dzieci) rozmieszcza u włościan chorowite małeństwa. Są jeszcze inne, które, dzięki pomocy prywatnej, zaludniają miejskim drobiazgiem brzegi morza i stoki gór.

Francja miała siedem towarzystw kolonji letnich dla dzieci w samym Paryżu, a bardzo energiczną działalność w tym kierunku rozwijała też i prowincja. Były instytucje, które zajmowały się specjalnie wysyłaniem na wieś dzieci drobnych urzędników i robotników.

Wszystko to i wszędzie wraca dziś do stosunków przedwojennych,

U nas — najszerze kręgi działalności zakreśliło i zakreśla Tow. kolonij letnich dla słabowitych dzieci, stworzone blisko pół wieku temu przez doktora Markiewicza, a prowadzone obecnie z niebywałym nakładem sił i energii przez doktorową Jadwigę Pawińską.

W samej Warszawie zapewnia ono powietrze i słońce kilkunastu tysiącom dzieci nędzy ulicznej, obejmując rozgałęzieniami swemi wszystkie prawie większe miasta prowincji.

Przed powstaniem wolnej Rzeczypospolitej Polskiej była to jedyna prawie organizacja, która umożliwiała działwie miejskiej nie tylko całomiesięczny pobyt na wsi, ale — chore, rachityczne, bezkrwiste wysyłała do miejsc leczniczych, skąd — po kilkorazowym dorocznym pobycie — wracały najczęściej zdrowe zupełnie.

Zakres pracy Towarzystwa, nie skępowanego obstrzeżeniami wrogich rządów, rozszerzył się ostatnimi laty znacznie.

Z dobrodziejstwa wczasów i kuracji w Ciechoćniku, Rabce, Iwoniczu i t. p. korzystają teraz już nie tylko dzieci, jak dawniej, ale i młodzież szkolna, która przedewszystkiem bywa uwzględniona przy zapisach.

Po za tą najpierwszą i najbardziej zasłużoną organizacją wakacyjną potworzyły się — wraz z wyjściem moskali w byłym Królestwie, a prusaków w Poznańskiem — liczne kolonje dla dzieci z ochron, zakładów i przytułków sierocych, którymi opiekują się bądź klasztory, bądź cywilne stowarzyszenia i związki społeczne.

Niema dziś prawie w kraju miejscowości kuracyjnej i dalszych letnisk zamiejskich, gdzieby się nie widywało codziennie grupy sierot od 7 do 14 lat, przeciągających parami z kąpieli lub do kąpieli pod opieką Sióstr z Rodziny Marji lub kierowniczek cywilnych. Czyste, białe fartuszki na schludnych kretonowych ubrankach, białe czapeczki — sunie to wśród drzew alejami parku, ścieżką leśną, dróżką nad rzeką lub miedzą łąkową, radując wzrok i krzepiąc serce nadzieją, że coraz, coraz więcej będzie ich, z izb piwnicznych i nor wilgotnych, którym damy choć przez kilka tygodni dach powietrza słońca.

Wychodząc z założenia, że odpoczynek na wsi jest tak konieczny dla ludzi pracy, jak pokarm i sen, zaczęto myśleć od niedawna o zapewnieniu letnich wczasów armji białych murzynów, skazanych dotychczas na jarzmo bez wytchnienia.

We Francji — przed wojną jeszcze — nie było prawie fabryk, warsztatów, pracowni, biur, sklepów, któreby nie zapewniały legionom roboczym choćby tylko dwu tygodni do roku wakacji.

Żeby ułatwić im wyjazd i wczasy, potworzyło się w Paryżu samymi kilka stowarzyszeń, których zadaniem jest organizacja możliwie tanich, a wygodnych i zdrowotnych letnisk dla dorosłych nad morzem i w górach.

„Rayon du soleil,“ „Églantine“ — parę innych jeszcze i — najliczniejsze ze wszystkich — „Nature pour tous,“ przyjmując ludzi pracy, bez różnicy narodowości, zakładając kolonje, które rozwijają się z roku na rok.

Oplata członkowska w „Nature pour tous“ wynosiła przed wojną pierwszego roku 12 fr., wszystkich następnych po 5 fr. rocznie od osoby. Obecnie — skutkiem spadku waluty — zapewne więcej. Ma się za to prawo korzystania z ulgowych przejazdów kolejną (pół ceny) i z pensjonatów po 3 fr. dziennie (w tej chwili niewątpliwie cena trochę podwyższona) za pokój z utrzymaniem (pierwsze, drugie śniadanie i obiad).

Towarzystwo ma swoje kolonje w St. Trojean na Oléron, Yport w Normandji, Sables d'Olonne, Chatellayon nad oceanem i Alway w Sabaudji. Zapewniając członkom wygodne pomieszczenie i zdrowy pokarm, żąda od nich tylko, aby sami sobie usługiwali, a więc sprząkali — każdy swój pokój, przynosili jedzenie z kuchni i wykonywali część innych, nie męczących zręczną robotę, jak wyluskiwanie — każdy dla siebie — porcji grochu na obiad i śniadanie, obieranie owoców i t. p.

U nas — ustawowo — wypoczynek letni został zapewniony sferom roboczym dopiero po unormowaniu się wolnej Polski. To też typ kolonji letnich, obliczony na sfery mniej, niż średnio zamożne, nie istniał dotychczas prawie.

Pierwszą instytucją, która powstała około 1910 r. — stworzona przez ś. p. Rozalję Brunerową i mająca na celu zapewnienie wypoczynku dorosłym, — są Kolonje letnie dla kobiet pracujących.

Projekt ich powstał w umyśle ś. p. Joanny Belcikowskiej, nauczycielki, która — nabywszy częścią z rodzinnych zasobów, częścią za krwawo uciulane grosze posiadłość Maryninek w Brwinowie (trzy wille i dosyć duży sad — ogród) przekazała to testamentem na rzecz przyszłych kolonij dla kobiet.

Mimo kilkoletniego zaledwie istnienia przed wojną, wyleczył Maryninek już niejedną chorą duszę i wątłe ciało. Do 1914 r. korzystały z pobytu letniego w Brwinowie przeważnie szwaczki i osoby, pracujące fizycznie.

Wieś, swoboda, powietrze i słońce oddziaływały na nieprzyzwyczajone do szerokiego tchnienia pół

i lasów organizmy z niezwykle zbawczą, cudotwórczą siłą, zostawiając ślady niezatarte! Kraśnieją po tygodniu twarzyczki, blednicą przeorane, rośnie waga, porywa się z apatycznych omroczeń radosny szal życia.

Zwiedzałam Kolonje dla kobiet w początkach ich istnienia, co rok śledząc czary wsi...

Zawierucha wojenna zburzyła Maryninek. Padły pod huraganem kulomiotów i szrapneli dwie wille, ocalała częściowo tylko jedna.

Odbudowane w 1922 r., dzięki energii ludzi dobrej woli, głównie pana podprokuratora Gumińskiego i p. Heleny Ruśkiewiczowej, przewodniczącej obecnego zarządu Towarzystwa, przy wybitnej pomocy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, kolonje powstały na nowo, zmienivszy nieco dawny swój typ, przystosowany w chwili obecnej do warunków, które — po wojnie — stworzyły takie niezliczone zastępy proletariatu inteligenckiego, że o jego potrzebach nie mniej, niż o potrzebach pracowników i pracownic fizycznych, myśleć musimy.

Dzisiaj z wywczasów letnich w Maryninku korzystają po większej części nauczycielki, biuralistki (co było właściwym założeniem testatorki) i młodzież szkolna: uczennice ostatnich kursów seminarjów dla nauczycielek szkół powszechnych lub wyższych klas średnich uczelni żeńskich.

Wygrzewają się gdy zabłyśnie słońce — na łąkach lub szmaragdowych trawnikach brwinowskich, spacerują po lasach i miedzach pól, wsłuchują się w pogwary drzew, w świergotliwą gędzbę ptaków i — czują budzącego się w sobie nowego człowieka.

\* \* \*

Założone po wojnie Stowarzyszenie młodych kobiet chrześcijańskich (na wzór amerykańskiego „Young Women Christian Association”) stworzyło przed trzema laty i prowadzi dotychczas Kolonje letnie dla kobiet w Rybieniu nad Bugiem, o których „Bluszcz” w Komunikacie prasowym jednego z numerów wiosennych podał obszernie sprawozdanie wraz z ilustracjami.

Powstają kolonje letnie spółdzielcze różnych stowarzyszeń i związków robotniczych, zawodowych, inteligenckich. Coraz silniej budzi się w szerokich masach zrozumienie potrzeby letnich wczasów, jako zbiornika sił do pracy całorocznej i bodźca psychicznego do niej.

Czy przyjdzie chwila, kiedy w dusznych murach miejskich nie będzie ludzi, którymby raz do roku choćby przez tydzień, dwa, trzy tygodnie nie zaświeciło słońce pełnej — bez zastrzeżeń — swobody, paląc się w piersiach zorzą niepojętej radości?

C. W.

## KSZTAŁCENIE KOBIECOŚCI\*)

— Kobiecość? — skrzywi się publicystyka, higjena czy pedagogika — co nam dzisiaj po kobiecości? Te sentymenty poetów, nastroje malarzy, mizdrzenie się lalek, te sztambuchy i plecionki z włosów prababek — komu dzisiaj potrzebne? Ani to nie zagoi bolączek społecznych, ani nie podźwignie moralnie kobiety, nie rozszerzy jej widnokręgów — przeciwnie, raczej może ją cofnąć wstecz...

Zacne to słowa w urzędowych oracjach, w programach społeczno-gospodarczych, ale jedna godzina szczerości mówi nam zgoła co innego. I historia mówi co innego.

Kobiecość to wielki fragment kultury, to niepoliczoność arcydzieł, to eliksir młodości, to dar dobrych genjuszów, niebezpieczny czasem, jak każda potęga.

Potęgi tej nieurzędowo, skrycie się szuka, odczuwa jej nieobecność, wika w jej labiryncie i stawia na nią los życia.

Przez skłębienie i natłok pracy zawodowej i szarzyznę powszedniości przebłyska ona, jak przez liście i konary błękit morze, jak

wschodnie oczy przez kwef — czaruje i niepokoi.

Czemże jest?

Sięgnijmy do tradycji wieków.

Oto prowansalskie zamki, wirydarze i żywopłoty róż, szansony i alby truwerów — oto włoska liryka „dolce stil nuovo”, z nią smułka i promienna przewodniczka dusz w ekstazie „szlachetna dama” i „donzella” — witraż, sielanka, modlitwa.

A oto loggie Renesansu, intrygi i festyny, dialogi platońskie, epoka krwi i rozkoszy. Słoneczny tycjański typ, królewsko zmysłowy, rozkochany w pięknie i bujności. A tu znów woskowane posadzki, peruki i wachlarze, amorki i madygały — galanterja, dowcip, wyrafinowanie...

Czy łączy coś te wzory epok — madonny, lwice, markizy, berżerki — wreszcie romantyczne anielice?

Zdaje się, że tak; przynajmniej dwa pierwiastki kobiecości można

zawsze w nich wykryć. Są nimi intuicja i wdzięk.

Intuicja to dziwna władza duszy, ucząca przenikać zawilosci i pozory jednym odruchem nieomylnego czucia, ucząca nurzania się w falach namiętności tak, jak chcą najtajniejsze pragnienia — ku ziszczeniu.

Wdzięk — to owo „je ne sais quoi” pisarzy XVII w., owiewające każdy ruch, słowo, uśmiech, spojrzenie, wyraz troski i zmęczenia.

Ile kobieta współczesna ma intuicji i wdzięku?

Przypatrzmy się obu czołowym typom: kobiecie feministce i modnej pani.

Pierwszy typ, mający wyobrażać kobietę równouprawnioną, wyzwoloną, samodzielną, słowem — kobietę silną, faktyczną jest legalizacją męskości w kobiecie. Jest ona przeważnie bezwzględna, mało uczuciowa, wysoce uświadomiona, bezceremonjalna na arenie spółzawodnictwa, posiada ruchy zdecydowane, dykcję jasną i dokładność wyrażenia, jest pedantką i doktrynerką,

\*) Redakcja „Bluszczu” prosi Czytelniki o wypowiedzenie się w kwestji poruszonej w powyższym artykule.

Drugi typ — z toalety jest arcykobiecy. Gdzież dawnym tiurniurów i krynolinom do dzisiejszych tunik, lekko i fałdźście opływających ciało! śmiały dekoltaż i krótka spódniczka, zmuszająca do estetyki dessous i pończoch, niegdyś ginących w falbanach, ileż plastyczniej uwydatniają kobiecość fizyczną! Sam jednak typ o krótkich włosach, szczupłych linjach ciała zaciera klasyczną kobiecość, nie kompensując tego wdziękiem.

Tak! wdzięku w modnej pani niewiele. Jej ruchy są szybkie i kanciaste, rozmowa banalnie hałaśliwa, mimika twarzy — to nerwowe skurcze i zawodowa kokieteryja.

Wpadając zlekka w karykaturę, w pierwszym typie moglibyśmy widzieć ideał pani Pankhurst i starych panien w drugim — typ z okładek i winiet, kurtyzowany typ „du chien“, coś ze studentki, łobuza i kokoty — tak niepodobny do dawnych stylizacji „powiewnych szat i anielskich kędziurów“. Brzmi to może za silnie — lecz mówimy o wzorach. W daleko mniejszym oczywiście stopniu będzie to cechowało ogół kobiecy.

Tak czy inaczej — intelektualna fachowość zabija intuicję, hasło równouprawnienia przez upodobnie-

nie zabija wdzięk, moda i gasi i ożywia kobiecość — rezultat naogół jest ujemny.

A może współczesna, wzamian tych braków, kobieta posiada coś swobodnego?

Bez wątpienia — jest niesłychanie ruchliwa. Świat sportów i ekspresów, świat „auto-aero-radio“ rozwinął i spotęgował gorączkę ruchu i zmian w tempu jakiegoś kina.

Byle prędzej — rwać i rwać, tu i tam — być błędnym ognikiem i smugą piany — w samochodzie i na dancingu — aż do lunatycznych dreptań bezmyślności.

W takich warunkach nic nie może w duszy rozwinąć się, dojrzeć, wypięknąć — trzeba szukać elegancji conajwyżej, a kosmetyka naskórka może symbolizować dzisiejszą sztukę nie kobiecości, lecz kobiecej płytkości.

Czy warto troszczyć się o znikającą kobiecość?

Warto choćby z tego względu, że jest ona potęgą; feminizm, gardlujący za silną kobietą, nie spostrzegł się, jak zabił jedną z największych mocy w kobiecie.

I — o ironjo! — mimo wszystkie atencje dla pań posłów i profesorów, adwokatów i gubernatorów najsilniejsza i najpromienniejsza jest kobiecość w kobiecie.

Siłą cywilizacyjną była „Alma Venus“ Lukrecjusza, nieśmiertelny wróg pani Pankhurst...

Czy można kształcić kobiecość?

Sprawa to zawila i długa, bowiem chodzi zarówno o pewne pierwiastki, jak i o sam typ. A jakież to ma być ten nowy typ: kobiecy i silny sobą?

Tego jeszcze nie wiemy, ale czuć nad kobiecością możemy.

Nasza polska młódź żeńska posiada niezrównane, świeże pierwiastki kobiecości, zanikające, niestety, rychło w szablonach mód, niektórych sportów, biur i dancingów.

Warto otoczyć je opieką, ucząc sztuki patrzenia w głąb, wczuwania się w piękno życia, a nie ślizgania i schematyzacji, kształcąc sztukę ekspresji, wyrazu przeżyć duchowych, a nie tylko ich logizowania.

Obok godzin myśli muszą być godziny symbolów uczuciowych, obok godzin automatów — godziny przeczuć wiosny.

Niegdyś Polki czarowały największych ludzi Europy. Napoleon I. i III. Liszt, Heine, Balzac — ulegali tej szczytnej kobiecości.

Może — w odnowionym typie życia — powstanie nowy typ kobiecy i zwróci ku sobie — smutne oczy zachodu.

L. Konopacki.

## KONGRES MIĘDZYNARODOWEJ RADY W WASZYNGTONIE



rudno sobie wyobrazić, nie będąc tego świadkiem naocznym w Stanach Zjednoczonych, jak dalece posunięte jest uprzedzenie białych do murzynów, jak,

pomimo zniesienia niewolnictwa i zrównania w prawach murzynów, faktycznie ci ostatni w dalszym ciągu są niewolnikami, siłą roboczą białych, używaną do podrzędnych robót, jak ta segregacja, która była powodem protestu na koncercie, odbywa się ciągle w życiu na każdym kroku! Byłoby pożądanem, ażeby nasze mniejszości narodowe przyjrzały się stosunkom amerykańskim w tem państwie demokratycznym, wolności praw obywatelskich, jakie stanowisko tam mniejszości zajmują sądząc, że wtedy przestaliby się uzalać na swój los i zajmować Ligę Narodów losem

mniejszości, skierowując jej uwagę w inną stronę, o ile do tego będzie uprawnioną.

Wracając do incydentu na koncercie, wyjaśniło się później, że wbrew rozporządzeniu organizatorek koncertu, żeby nie robić segregacji gości według koloru skóry, personel miejscowy, w myśl przyjętego zwyczaju segregowania czarnych, wszystkich skierowywał na galerję. Nazajutrz odbył się meeting czarnych, na którym postanowiono zwrócić się do przewodniczącej Rady z żądaniem satysfakcji, w przeciwnym bowiem razie czarne kobiety wystąpią z Rady Amerykańskiej. Po wyjaśnieniu nieporozumienia murzynki się uspokoiły i pozostały w Radzie. Pierwszego dnia Kongresu 4-go V wieczorem o 8-ej odbyło się powitanie Kongresu przez przewodniczącą Rady Amerykańskiej, p. North Philipp Moore; po przemówieniu Hoovera w imieniu Rządu

Stanów Zjedn. odpowiedziała przew. R. M., lady Aberdeen, poczem witały Kongres w trzech oficjalnych językach przedstawicielki: Francji, Niemiec i Hiszpanji.

Następnego dnia rozpoczęły pracę przygotowawczą dla walnych zebrań Komisje: 1) Prawnicza, 2) Pokoju i Arbitrażu, 3) Równouprawnienia politycznego kobiet, 4) Wychowawcza, 5) Opieki nad dzieckiem 6) Moralności i zwalczania handlu kobietami, 7) Emigracyjna, 8) Pracy i zawodów, 9) Prasowa, 10) Finansowa i 11) Zdrowia Publicznego. Dopiero we wtorek d. 6-go maja o 2 pp. odbyło się oficjalne otwarcie Kongresu, poczem wieczorem o 8-ej przewodnicząca kolejno przedstawiała przewodniczące wszystkich 41 Rad Nar., które w krótkich przemówieniach składały sprawozdania o dokonanych swoich pracach. Jednocześnie nastąpiło uroczyste odsłonięcie sztandaru Rady Mię-

dzyn., dar Ameryki. Rady Nar. Sztandar z białego jedwabiu wyobraża wszystkie części świata, przez które przenikają złote promienie ideologii R. M., streszczające się w słowach, widniejących w dużych złotych literach nad estradą: „Czyń drugiemu to, co byś chciał, żeby tobie uczyniono“.

Walne zebranie, po wysłuchaniu sprawozdań Zarządu R. M. i stałych Komisji międzynarodowych, uchwalilo kilka drobnych poprawek w statucie i regulaminie Rady Międz., przyczem najdłuższą dyskusję wywołała propozycja Komitetu Wykonawczego ofilcowania innych międzynarodowych organizacji kobiecych z prawem głosu w Radzie Międz. Większością głosów przyjęto wniosek odesłania tej propozycji do następnego pięciolecia Rady Międz. Inne wnioski zmian statutu, jak powiększenie Zarządu o 3 wiceprzewodniczące, zamiast 5-ciu 8, oraz ażeby wszystkie propozycje nowego działu pracy w R. M. wymagaly większości  $\frac{2}{3}$  głosów, jakoteż powiększenie opłaty członkowskiej o 5%, wpłacanych ze zwykłych dochodów R. N., przyjęto jednomyślnie.

Ważniejsze wnioski Komisji są następujące: Prawnicza Komisja wyraża zadowolenie, że Komisja Kodyfikacyjna Ligi Narodów zajmuje się obywatelstwem kobiety zamężnej, wyraża życzenie, ażeby w skład tej Komisji weszły kobiety prawniczki. 2) Poleca Radom zebranie i wydanie zbioru praw, dotyczących się kobiety i dzieci, przetłumaczenie tego zbioru na jeden z oficjalnych języków i przesłanie R. M.

Komisja praw politycznych kobiet wyraża życzenie, ażeby kobiety, posiadające prawa polityczne, tworzyły grupy kobiece w stronnictwach, do których należą w celu użycia wpływów na sprawy, dotyczące się praw kobiet i dzieci; ażeby te grupy poszczególnych stronnictw były ze sobą w kontakcie w celu współdziałania we wspólnych interesach. 2) Poleca tworzenie komisji parlamentarnych, wchodzących w skład Rad Narodowych w celu utrzymania kontaktu między ciałami ustawodawczymi a organizacjami kobiecymi. Najdłuższą i najgorętszą dyskusję wywołała Komisja Pokoju i Ligi Narodów, obecnie przemianowana na Komisję

Pokoju i Arbitrażu. Dyskusja przybrała charakter polityczny i jasno zaznaczyła stanowisko poszczególnych Rad do propozycji rozbrojenia. Większość mówczyń uznała zasadę, że chociaż rozbrojenie byłoby największą gwarancją powszechnego pokoju, to jednak nie może być mowy o rozbrojeniu, zanim narody nie będą miały zapewnionego bezpieczeństwa swych granic. Przedstawicielka Polski, sen. Szebeko, wyraźnie zaznaczyła, że chociaż nikt więcej nie pragnie pokoju, jak Polska, jednakże w obecnych warunkach, mając sąsiada o nieuregulowanych stosunkach politycznych, jakim jest Rosja, samobójstwem byłoby dla Polski mówić o rozbrojeniu; wobec tego delegacja polska za tą rezolucją głosować nie będzie. Wobec zapewnienia bezpieczeństwa narodom przy jednoczesnym wprowadzeniu ograniczeń zbrojeń, Czechosłowacja oświadcza się za rezolucją. Węgry proponują usunięcie zdania, zapewniającego bezpieczeństwo narodom, w końcu Niemcy oświadczaają, że głosować będą za rozbrojeniem w razie przyjęcia wniosku węgierskiego, usuwającego zapewnienie bezpieczeństwa. (c. d. n.)

## DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO

(Dokończenie)

Gdy mowa o Uniwersytecie ludowym, o bojkocie szkoły rosyjskiej, o Polskiej Macierzy Szkolnej, jawi się pamięci mojej inna hetmanka. Czas doprawdy nazwisko Marji Dzierżanowskiej wydobyć z zapomnienia i wielkie zasługi jej okazać we właściwym świetle.

Toczą się dziś wielce poważne dyskusje nad zagadnieniem, czy kobieta może pogodzić pracę zarobkową z pracą w domu, wychowaniem dzieci i t. d.

Są ludzie, którzy wszystko potrafią. Osoba, o której mówię, pracą nauczycielską utrzymywała dom i wychowywała jednocześnie czworo dzieci sama. A poza tem? Ogrom pracy, oddawanej przez nią stale sprawie publicznej, jest wprost nieprawdopodobny.

Prawda, była wyjątkowo utalentowaną, posiadała kolosalne zdolności, umysł logiczny, śmiały, konsekwentny, niepospolity dar wymowy, zmysł organizacyjny, śmiałość, odwagę, a przede wszystkim wolę i niespożytą energię.

Drobna, nerwowa, o temperamentie niezmiernie żywym, powiedziała bym, bojowym, brała szturmem wszelkie pozycje. Umiała rządzić ludźmi i dowodzić nimi, jak nikt z tych, którzy przesunęli się przed memi oczami w latach konspiracji.

Gdy poznałam ją, wróciła właśnie z Rygi, dokąd „sposobem administracyjnym“ na dwa lata zesłana była na skutek jakiegoś, podobno nawet niesłusznego, podejrzenia. Zetknęłam się z nią w Kole Kobiet Korony i Litwy i w pracy oświatowej wśród robotników. „Uniwersytet Ludowy“ był jej ulubioną myślą. Próbowano już przed nią zorganizować coś podobnego. Były to niedołożne próby.

W parę tygodni, w zimie 1904 r., myśl została zrealizowana. W mieszkaniach robotniczych lub inteligentkich, a w końcu nawet w lokalach szkół prywatnych odbywały się wykłady. Dzierżanowska brała sama wykłady w kilku grupach, dobierała najlepsze siły, wprowadziła w organizację rygor, ład, sprę-

żystość. A wykład jej? Dotąd łzami i ogniem napełniają się oczy tych, co mieli szczęście być jej uczniami. Otwierała przed nimi nowe światy. Życiu ich całemu nadawała nowy kierunek.

Praca rozrosła się wkrótce znakomicie i włączona została do Okręgu Warszawskiego Tow. Oświaty Narodowej, (wyłonione przez Ligę Narodową, zostawało pod jej bezpośrednim kierunkiem.)

Niezwykłe talenty Dzierżanowskiej zabłysły jednak w całej pełni dopiero w roku następnym, gdy atmosfera rewolucyjna usposobiła młodzież, nienawidzącą oddawna szkoły rosyjskiej, do opuszczenia jej murów.

Szczupłe ramy niniejszego szkicu nie pozwalają mi na szczegółowe omówienie tego epizodu, wiążącego się ściśle z akcją polityczną ówczesnych stronnictw i organizacji tajnych. Poprzestać muszę na nakreśleniu roli, jaką odegrała w nim Marja Dzierżanowska. Moment był wysoce dramatyczny za-

równy dla dzieci, jak dla rodziców. Miał ten charakter i dla czynników rządowych.

Wówczas to władze Ligi Narodowej powierzyły kierownictwo akcji szkolnej trzem członkom organizacji: Marji Dzierżanowskiej, Ludwikowi Zielińskiemu i Kazimierzowi Janikowskiemu.

Celem tej akcji miało być udzielenie poparcia niezawisze skoordynowanemu i zgodnemu w metodach i dążeniach, a już z natury swojej, słabemu ruchowi młodzieży. Uzyskać poparcie to u rodziców, przekonać rząd, że z dziećmi solidaryzuje się całe społeczeństwo, oto były główne wytyczne. Ostatecznym celem miało być wydarcie rządowi ustępstwa w postaci szkoły polskiej.

Od pierwszego dnia Dzierżanowska wysunęła się na czoło akcji. Wszyscy inni poszli dobrowolnie pod jej komendę.

Zawiązany przez nią Związek Unarodowienia Szkół rozpoczął tego samego dnia czynności swoje od odezwy, która wzywała rodziców do wzięcia bojkotu szkoły rosyjskiej w swoje ręce. Za tą pierwszą poszły setki odezw, przypomnień, wskazówek. Zorganizowano na wielką skalę akcję tajnych wieczorów rodzicielskich. Otwierano oczy, przekonywano, budzono z długoletniego snu i organizowano tych ludzi w dalsze ognia Związku.

Za akcją warszawską poszła akcja na prowincji i wkrótce, śmiało powiedzieć można, że kraj cały wciągnięty został w tę sprawę. Wszyscy, co czynni lub bierni tylko brali udział w tem dziele, przypominają sobie gorączkową atmosferę tych czasów. Chodziło o to, by nie dopuścić za żadną cenę do kapitulacji przed wychowawcą moskiewskim, by nie pozwolić młodzieży na powrót do szkoły, przed uzyskaniem ustępstw. A, niestety, nastrój w społeczeństwie bynajmniej nie był jednolity i niełatwą była walka z tchórzostwem, egoizmem, z wiarą w potęgę przemocy.

W dodatku, zebrania rodzicielskie odbywały się w dniach rewolucyjnej grozy, w mieście, po którym krążyły gęsto patrole wojskowe, a ognie biwaków żołnierskich płonęły na placach, w mieście, tonąc w ciemnościach, wśród których rozlegały się raz po raz karabinowe salwy.

Codziennie o godz. 11-tej wieczorem zbieraliśmy się w mieszkaniu Dzierżanowskiej, by zdać sprawę z powierzonych czynności, by wziąć rozkazy na dzień jutrzejszy.

Niestrudzoną była Dzierżanowska w tej walce. Siła jej argumentacji, spokój, wiara w powodzenie podbijały najsłabszych nawet i naj-

tchórzliwszych. Związek stawał się potęgą, której rozkazów słuchano, pod którego skrzydła chroniono się z największą ufnością.

Najefektowniejsze momenty tej walki to był ów jawny już wiec w Muzeum, 19 lutego 1905 r., na którym zmuszono kuratora Szwarca do zamknięcia na czas nieograniczony wszystkich szkół rządowych w Królestwie. Tego samego dnia Zw. Unarodowienia Szkół w krótkiej odezwie, rozrzuconej po całym mieście, i tegoż samego wieczora rozesłanej na prowincję, zawiadamiał społeczeństwo o odniesionem zwycięstwie „Nowoje Wremia“ pośpiech ten nazwało „bezczelnością.“ Drugą wstrząsającą chwilę przeżyliśmy, gdy nadeszła z Petersburga wiadomość (przedwczesna zresztą) o dozwoleniu w szkołach prywatnych Królestwa na wykład w języku polskim. Warszawa szalała z radości. Nieznajomi ludzie na ulicy rzucali się sobie w objęcia, płacząc. Później dopiero rzecz ta stała się faktem, jako rezultat wytrwale przez Związek Unarodowienia Szkół, przez młodzież i inne pokrewne organizacje prowadzonej akcji, jako rezultat wysokiego duchowego napięcia, które potrafiło w szerokich kołach społeczeństwa naszego wytworzyć.

Nie piszę tu historii owego ruchu, jednego z najosobliwszych w dziejach naszych. Niech mi więc darowane będą wszelkie niedokładności i pominięcia. Chodziło mi tylko o nakreślenie sylwetki tej, która była duszą i kierowniczą sprężyną walki o szkołę polską, której z pewnością ze wszystkich w stopniu najwyższym przyznana być powinna zasługa wywalczenia szkoły prywatnej w Królestwie.

Po szkole średniej przyszła kolej na szkołę ludową. I tu trzeba było użyć wypróbowanego narzędzia bojkotu. Wyprowadzo dziesiątkę ze szkół rosyjskich.

Prócz negatywnej, miała akcja walki o szkołę polską i stronę pozytywną.

Wyprowadziwszy młodzież i dzieci ze szkół rosyjskich, trzeba było dać im naukę prywatną, domową. I tu talent organizacyjny Dzierżanowskiej zabłysnął w całej pełni. Młodzież i dzieci, zorganizowane w grupy, licząc po kilkanaście jednostek, dostały siły nauczycielskie, najczęściej o wiele wyżej stojące nietylko charakterem, ale i wiedzą, i metodą nauczania, od pedagogów moskiewskich. Niski poziom ogólnego rozwoju i przygotowania tej młodzieży, zwłaszcza w przedmiotach polskich, budził uczucie zgrozy w powołanych do tej pracy nauczycielach — polakach, i otwierał oczy na konieczność

tego rewolucyjnego wstrząsu i uzasadniał go najmocniej.

Gdy uzyskane nareszcie prawo utrzymywania szkół prywatnych niższych i średnich z językiem wykładowym polskim otworzyło pole pracy twórczej, przeniosła Dzierżanowska działalność swoją na teren Polskiej Macierzy Szkolnej.

I znów zaczęła się praca gorączkowa dniami i nocami: zebrania organizacyjne, układanie statutów, programów, katalogów, tworzenie muzeum szkolnego, gromadzenie przezroczy i t. d. i t. d. Aż ręka wroga przerwała tę nić trudu, zmuszając Dzierżanowską do wyjazdu zagranicę. A potem przyszły rozterki wewnętrzne; po burzy rewolucyjnej nastąpiła reakcja, a z nią ochłodzenie umysłów i serc, zmiany poglądów wśród najbliższych... Zrywanie krwią serdeczną zadziergniętych nici... rozpadanie się starych organizacji. Dzierżanowska — duch nie znający kompromisów, duch nieugięty, umarła w rozpacz i głębokiem do ludzi rozczarowaniu. Nie doczekała początku wielkiej wojny. Nie ujrzała świtów... Odeszła wśród ciemnej nocy i cienie zapomnienia padły na jej mogiłę.

\* \* \*

Cudu niepodległości, cudu armji polskiej dożyła dr. Ciszewiczowa. Jeszcze była czynna w Lidze Kobiet Polskich Pogotowia Wojennego; jeszcze starczyło jej entuzjazmu do ukochania Legjonów. Ciężką złożona była już choroba, gdy promieniem radości zamigotały jej oczy na wieść o zwycięstwie pod Radzyminem. Ale potem było z nią coraz gorzej: wiek, choroba, niemożność zarobkowania, niedostatek, osamotnienie... Zapomniano o niej, prócz garstki przyjaciół, co pozostała jej wierna.

Zgon jej przeszedł bez rozgłosu; nad grobem nie odezwał się prawie nikt. Mój Boże! Społeczeństwo miało przecież tyle ważniejszych rzeczy na głowie. Zresztą to było w stylu: tak odchodzą od nas zawsze „Oczyzny obrońce.“

Żyje dotąd, ciesząc się zdrowiem i pogodną twarzą ukazując wszystkim niepowodzeniom — twórczyni i przywódczyni Tajnego Nauczania. Krzyżem „Polonia Restituta“ zapłaciła jej Polska nowa za trud bohaterski i ofiarę niepodzielną wszystkich chwil żywota. Jej jednej z tej trójcy.

Więc dziś, gdy dymy kadzideł pochlebnych unoszą się nad tylu mogiłami, zaprawdę nic z heroizmem wspólnego nie mających małych, o bezpieczeństwo swoje zawsze dbałych ludków — dziś trzeba było przypomnieć parę postaci z pośród tych, co naprawdę byli solą ziemi polskiej.

Helena Ceysingerówna.

KAROLINA BIELAŃSKA

2

## CONRAD O KSIĘCIU ROMANIE SANGUSZCE

(Dokończenie)

Książę Roman Sanguszko, syn Eustachego i Clementyny z Czartoryskich, urodził się w r. 1800. W r. 1820 wstąpił do kawalergardów gwardji cesarskiej, w trzy lata później podał się do dymisji. W roku 1828 zaślubił słynną z urody Natalję Potocką, córkę Anny z Tyszkiewiczów i Aleksandra Potockiego. W dziewiętnaście miesięcy po ślubie stracił żonę. Pozostała mu córeczka Marja, (później Alfredowa Potocka, żona namiestnika Galicji).

Tyle historia. Podobnie brzmią zapiski w pamiętnikach Bobrowskiego (wydanych w r. 1900), z których już w swoich *Memories* Conrad chętnie czerpał. Z tradycją zgodnie opisuje też autor sielanek młodej pary „poślubionych kochanków, married lovers”, rozpacz, tem straszniejszą, że niema i zamkniętą w sobie, wdowca; i — co najbardziej nas interesuje ze względu na psychologicznych — potęgowanie się w sercu księcia, pod wpływem bólu, miłości do kraju rodzinnego.

— „Cios, który w niego uderzył, wstrząsnął całym jego ustrojem moralnym. Otworzył mu serce dla potężniejszego jeszcze bólu, rozszerzył widnokrąg i dał mu poznać imperatyw równie tajemniczy i potężny, jak ta miłość stracona, która wydarła szczęście jego życia“.

Już mówiąc o dogasaniu młodej księżnej, zaznaczał autor: Nie chciała dać się wywieść zagranicę, nie chciała opuścić kraju, „gdyż nigdzie nie byłoby jej tak łatwo wyzdrowieć i nigdzie tak lekko umierać“.

Jakże ciekawe jest to uświadomienie sobie uroku ziemi ojczystej w człowieku, który dobrowolnie się ekspatriował!

Posłuchajmy opowiadania Conrada, zastrzegając się, że trzeba by znakomitego tłumacza, aby oddać czar słów:

— „...Książę jechał prosto przed siebie, nie patrząc i nie zważając na nic, tak, jakby świat był pustynią, a całą ludzkość wchłonął w siebie ten jeden grób, który zastąpił mu drogę.

„Czemże byli dla niego ludzie, ich troski i uciechy, prace i namiętności, kiedy ty, która była dla niego światem, została mu w darta? Jedyne ucieczką w pustce i opuszczeniu tak straszliwe, jak zmora senna, była dlań ziemia, gdzie się urodził i spędził lata chłopię-

ce. Znał ją tak dobrze. Znał każdą kępę drzew, wieńczącą szczyty wzgórek w pośród zoranych pól, każdy jar z ukrytą w głębi jego wioszcyną. Groble, wiążące łańcuch stawów po zielonych łąkach. Wielki bór, odcinający się ciemnym pasem na skraju horyzontu, gdzie błękit nieba styka się z czernią ziemi.

„Ten ojczysty krajobraz, skojarzony ze wspomnieniem dni beztroskich, łagodził boleść jego tak, jak łagodzi ją obecność starego przyjaciela, który w czarnej godzinie życia siedzi blisko cichy i nienarzucający się“.

Na jednej z tych samotnych przejażdżek książę ujrzał widok, będący zwiastunem niezwykłych wydarzeń. Po polach ojczystej ziemi snuł się pochód obcego wojska, najeżony bagnetami, „do gada olbrzymiego podobny“.

„Głowa znikła już w głębi jaru, a ogon pełzał jeszcze po polach, wił się, malał, jakgdyby potwór wgrzył się w serce ziemi“.

Rok 1831.

Przeciw powstaniu polskiemu szła armia rosyjska.

Zbudził księcia z bolesnego odrętwienia „imperatyw“ uczucia, nierniej silnego, jak miłość dla zmarłej.

Ukochaną istotę, która do niego należała, wydarła mu śmierć. Był wobec śmierci bezsilny. Ziemię, która była jego ojczyzną, gwałcił wróg. Mógł iść bronić swej ziemi, poszedł zatem, ofiarowując, co było „bezsprzecznie jego własnością“ — życie, „z prostotą i pokorą“, jak pierwszy lepszy człowiek z ludu, on, świetny niegdyś oficer gwardji cesarskiej, magnat o bajecznej fortunie.

Bje się, spełnia swój obowiązek i więcej niż obowiązek. Ostateczna klęska. Książę znajduje się w ręku Rosjan, staje przed sądem wojennym. Jako byłemu oficerowi rosyjskiemu grozi mu śmierć.



W tej decydującej godzinie życia, która zdaje się być ostateczną, wychodzi na jaw najistotniejsza treść duszy człowieka.

„Któż zgadnie, ile tam, wpośród czterech ponurych ścian, odcinających go od świata, wolności i nadziei, gdy stanął sam jeden, w obliczu wrogów, mających być jego sędziami, pozostało w nim jeszcze tego poczucia obowiązku, objawionego przez ból, ile tej nowonarodzonej miłości dla kraju, który żąda miłości większej, niż jakkolwiek inny kraj na świecie, miłości bolesnej, jaką kocha się umarłych a niezapomnianych a płomiennej, jaką tylko żywy ideał obudzić w nas może?...

„Niesłychana to myśl i trudno nawet wyobrazić sobie taki nakaz, aż stanie przed nami i zażąda oddania się całkowitego bez trwogi i zarzutu“.

Książę stał przed swymi sędziami obojętny w głębi duszy na wszelkie szczegóły, ukrywający znużenie, aby nie przypuszczano, że dał się złamać i po wielkopańsku uprzejmy.

Sędziowie nie byli dlań wrogo usposobieni: prezes komisji, zjednany przez rodzinę jeńca, która „niebo i ziemię poruszyła“ (świadomy polonizm w angielszczyźnie Conrada), by go ocalić, w gruncie rzeczy dobroduszny człowiek, starał się podsunąć księciu jedynie możliwą linię obrony.

„Prostu zadawał pytania w ten sposób, aby odpowiedź sama kładła się w usta oskarżonego: — jak to z rozpacz po stracie młodej żony... nie odpowiadając za swe czyny... w chwili ślepej nierozwagi... nie zdając sobie sprawy z karygodności i niesławy czynu... połączył się z buntem pod wpływem nagłego porwy... a teraz, żalując...

„Ale książę Roman milczał. Sędziowie patrzyli na niego pełni nadziei. On, milcząc, wziął pióro i na kawałku papieru napisał: „Przyłączyłem się do powstania narodowego z przekonania“.

„Tak brzmiało credo księcia Romana w tej najwyższej chwili jego życia“.

Conrad, opowiedziano tę, nawiasem mówiąc, zupełnie autentyczną scenę, o której, jak wspomina, dowiedziano się później z opowiadania owego właśnie oficera, przewodniczącego komisji,

dodaje: „Mówiono mi, że książęta S—przyjęli ostatnie słowa ks. Romana, jako dewizę rodu“. Tak się stało istotnie.

Wyrok, który zapadł na sądzie, był tylko „odwleczoną śmiercią“: zesłanie na Sybir do robót. Cesarz Mikołaj, obawiając się, że rodzina może wpływami swymi uzyskać pewne ulgi dla skazańca, dopisał własnoręcznie, potwierdzając wyrok: „Prowadzić piechotą, w kajdanach\*“.

Okropność tego losu odmalowuje Conrad kilku słowy powściągliwymi, ale właśnie dlatego głębokie czyniącymi wrażenie, choć może dla cudzoziemców można było jeszcze dobitniej wystawić, czem była droga na Sybir w takich warunkach; mało kto bowiem, nie patrząc na mapę, zdaje sobie sprawę z potwornego ogromu przestrzeni.

Po niejakiem czasie udało się rodzinie w drodze łaski uzyskać przeniesienie skazańca na Kaukaz, jako szeregowca. Ale i tam był zupełnie odcięty od świata. Nie miał żadnych praw cywilnych. Tylko cierpieć wolno było temu, umarłemu za życia, człowiekowi.

Wreszcie po latach, stary już, zupełnie głuchy, ze starganem zdrowiem wrócił do stron rodzinnych.

Pięknie, zgodnie zresztą z tradycją, przechowaną nie tylko we wspomnieniach jego wuja, ale w żywej i pisanej tradycji wielu współczesnych, opisuje Conrad zmierzch życia człowieka, który „nie sądził, że ma prawo zamknąć się w ciszy po spełnionych trudach, lecz uważał, że życie jego nie do niego należało, a do współobywateli“. Żył po spartańsku, na osobiste zyski nie bacząc, pracował nad uprzemysłowieniem kraju, dla ludu miał głęboką miłość i czczony był przez cały naród „nie dlatego, że magnat, ale chociaż magnat“, (Bobrowski), nie dbał o krytykę ludzi, którzy uważali go za spóźnionego romantyka w czasach wszechwładnego pozytywizmu i oportunistycznej trzeźwości.

(„Bohaterstwo w nim było, była ta głowy wysokość i karku nieugiętość, która podłazić nie umie..“ świadczy Stanisław Tarnowski).

„Dla mnie—mówi Conrad—pozostanie on zawsze postacią żywą przez to spotkanie przypadkowe..., które dało mi poznać człowieka, ze wszystkich ludzi najbardziej zdolnego do wiary niezłomnej, siły uczucia przemożnej i miłości bezgranicznej.

„Pamiętam do dziś, jak jego koścista pomarszczona dłoń ścisnęła moją poplamioną atramentem łapinę, jak odeszli razem z wujem i zapomnieli o małym chłopaczku.

„Ja patrzyłem za nimi nierucho-

my, zmieszany ukazaniem się tego księcia, tak niepodobnego do moich książąt z bajki. Gdy doszli do drzwi, przystanęli i książę rzekł — zdaje mi się, że go słyszę jeszcze: „Radbym, żebyś pan napisał do Wiednia o oddanie mu tej posady. Wart jest tego, a pańskie polecenie będzie decydujące“.

(W Wiedniu mieszkała córka i zięć księcia, właściciele większej części olbrzymiej rodzinnej fortuny).

„Widziałem na twarzy wuja zdziwienie, jakby chciał powiedzieć: czyż polecenie ojca nie znaczy więcej? — Książę umiał widać błyskawicznie szybko czytać w twarzy, gdyż odpowiedział natychmiast tym głuchym głosem, jakim mówi człowiek, który od lat nie słyszy swego głosu i dla którego świat bez dźwięku jest światem niemych cieni:

„Proszę cię o to, widzisz, bo córka moja i zięć nie wierzą, bym ja był dobrym znawcą ludzi. Uważają, że zawsze zanadto powoduję się sentymentem“.

\* \* \*

Tą subtelną pointą kończy się opowiadanie. Conrad nie lubił arystokracji i nie lubił jej Bobrowski. Ale chodziło mu również o zaznaczenie, że człowiek wyższy uczuciem nad innych, będzie zawsze samotny — nie tylko w swej sferze—ale wśród świata. Ku temu dążył, przeistaczając wbrew prawdzie ojca bohatera, ks. Eustachego Sanguszkę, legendarnego towarzysza heroizmów i szaleństw ks. Józefa, kolegę Mohorta i Kościuszki, w kosmopolitycznego, rozważnego „ks. Jana“. Na tym drobnym obrazku możnaby analizować stosunek między fantazją a rzeczywistością u pisarza. Interesujące byłoby dla

\*) (Autentyczne) Bobrowski w pamiętnikach swych pisze: „Ks. Roman szedł na Sybir rok przeszło z kryminalistami, przykuty do drążka“.

Ze wspomnień Róży Sobańskiej, opiekunki zesłańców, wiemy, że, jadąc do męża przed Tobolskiem spotkała partję zbiedzonych jeńców, między którymi był ks. Roman. Obdarzyła ich czem mogła, zwłaszcza bielizną, gdyż nie mieli jej zupełnie, i zjadały ich wszy. Ks. Roman uchylił ze smutnym uśmiechem szynel, pierś jego była, jak jedna rana. Pani Róża dała mu książeczkę Naśladowanie Chrystusa, która była mu odtąd wierną towarzyszką. Za zesłańcem poszedł w ślad wierny teorbanista, Widort.

\*\*) Oryginalna piosenka, której jedna strofka po ukraińsku na nutę dumki, druga po polsku na nutę krakowiaka.

Polaka przeprowadzić ten wywód. Dla cudzoziemca tło Księcia Romana jest tak egzotyczne, jak dla nas morze i lądy dalekie, stanowiące zwykle tło opowieści Conrada. My zauważyć musimy, że w przeciwieństwie do plastyki głównej postaci, „widziana jej“ w dzieciństwie i stylowej psychologicznie, tło jest raczej wzięte z „literatury“ i przez to, niestety, trąci szablonem owych pisanych kiedyś opowieści sympatyków naszej sprawy wśród cudzoziemców. Książę ojciec, siwobrody Jankiel; choć bez wątplenia jest w nim i wspomnienie autentycznego Jankla, arendarza dziadka autora (Bobrowski), staropolski „wierny sługa“, to typy nieco papierowe. Wojaczka 31 roku przypomina nam raczej partyzantkę 63-o. To są — oznaczył zresztą sam autor—rzeczy słyszane.

Wdzięczni mu jednak jesteśmy i za ten piękny fragment.

Ale jakież to piękne mogło być dzieło! Gdyby łuk życia wielkiego pisarza nie był się przerwał zbyt rychło! gdyby się był jeszcze dłużej rozejrzał po kraju młodości swojej z tą tkliwością, jaka budzi się u zmierzchu żywota!

Byłby do niego przemówił cały czar stepowej poezji, kresowego junactwa, bijący z postaci tego młodego księcia Romana, gdy był w istocie „jaśniejącym szczęściem księciem z bajki“ a czemś więcej, niż świetnym oficerem kawalergardów. Już w roku 1828 Tymko Padura, śpiewak wolności polskiej i kozackiej—życzył mu w dniu urodzin, aby on, ukochany bałko Roman, powiodł zbrojne hufce, Batorego szlakiem, przeciw Moskwie...\*\*)

Conrad, jak mało kto, potrafiłby oddać temperament kresowca, ten sam, który wodził Emira Rzewuskiego po stepach Arabji, ten sam, co kazał ojcu autora przywdziewać chłopską sukmanę, a jemu samemu uciekać z dusznego Krakowa na morza szerokie. †

I byłaby się wtedy sprawdziła przepowiednia Tarnowskiego, wypoowiedziana nad grobem tego, który „nie był księciem hetmanem, ani księciem wojewodą, ale Księciem Niezłomnym“.

„Weźmie go legenda, dumy będą i pieśni o księciu, co szedł na Sybir, do drąga przykuty... a że to było „z przekonania“, to dopowie — historia“.

Warto by to teraz dopowiedzieć cudzoziemcom, warto przypomnieć i swoim.

I miło nam, że dzięki tej pięknej postaci, na okładce pośmiertnej książki wielkiego pisarza — widnieje obok potężnej flagi Wielkiej Brytanji — sztandar polski.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

10

## ŚWIEKRA I SYNOWA

(Współczesne)

O, biedne serce kobiece, jakąż ty umiesz żyć nędzą... ty, któreś było za młodu takie wymagające i dumne!

W parę dni potem, do matczynego mieszkania, na Złotej, wpadł syn prosto z kliniki po zajęciach popołudniowych. „Mamo — rzekł, stojąc w paltocie z kapeluszem w rękę — na miłość Boską, jak można robić nam taką krzywdę: jadać ze sługami! — co ludzie powiedzą?!... przecież to się rozejdzie — wezmą ją na języki!“

— Moje dziecko — przecięła z pewnym zniecierpliwieniem — czy każesz się zastanawiać swojemu pacjentowi, który walczy ze śmiercią, co ludzie o tem lub owem powiedzą. Ja w kuchni jem — a z wami przy stole nic przelknąć nie mogę...

Syn ciężko opuścił się na krzesło — położył kapelusz, chciał coś mówić. Wtem drgnęli obydwój: dzwonek! — „To policja“ szepnęła z ironicznym uśmiechem...

Znając zegar codziennych zajęć męża, jeżeli w piętnaście minut po klinice nie było go w domu, Janina telefonowała do portjera w domu matki, a jeśli odpowiedź brzmiała: pan jest, pędził niezwłocznie kurjer z listem „przychodź natychmiast: ważny interes“.

Najmując mieszkanie dla matki, nie wiele co sobie z tego robił! „to dla pozorów“. Matka będzie przesiadywać całe dnie u nich — a on u niej może często spędzać wieczory — jeszcze lepiej, bo sam na sam.

Ach — wizyty u matki sam na sam?! — te były na indeksie na pierwszym miejscu. Któż nie znał tej wielkiej miłości matki z synem? — mówiła o niej cała Warszawa. Żona miała sobie za pierwsze zadanie zniszczyć tę miłość, bo inaczej miłość może zapragnie zniszczyć ją!

Matki pracują nad odebraniem żonie synowskiego serca. To jest walka o życie — w Świecie Kobiecym przetransportowała na walkę o serce. Dopóki jej wpływ, jej władza nie jest jedyną, dotąd sytuacja jej nie jest pewną.

Rok upłynął — młoda pani powiła syna. Sypialnia stała się świą-

tynią, łóżko ołtarzem. Dostęp tu miały i prawo głosu tylko matka i siostry żonine, funkcjonujące z namaszczeniem arcykapłanów. Mąż został zlekceważony i był wogóle źle widziany, jeżeli pokazywał się często: śledziły go oczy podejrzliwe, posądzające o jakieś złe zamiary.. O matce mężowskiej zapomniano. Ale gdy arcykapłanki porozjeżdżały się strudzone — młoda matka, która już podniosła się z łóżka, ocknęła się w marnej asyście dwóch służących z dzieckiem na rękę.

Nagle coś sobie przypomniała... Wbiegła szybko do gabinetu męża i, wpatrzywszy się w niego surowo, rzekła tonem wyrzutu:

— Powiedz mi, mój drogi, co się to znaczy, że matka twoja jest formalnie zagnana do kuchni?! — brwi lekko zmarszczyła — ona już teraz zupełnie nie pokazuje się w pokoju i napewno nie widziała swego wnuka! Ja ciebie nie rozumiem, jak ty na to możesz pozwolić?! Dlaczego tak jest?!

— A no, to stań przed lustrem i powtórz sobie to zapytanie.

— To niby ja mam być temu winną?! a przecież może raczysz sobie przypomnieć, że ja zaraz na wstępie, przy pierwszym śniadaniu prosiłam ją, żeby się nie czem u nas nie facygowała, żeby się nie zrywała rano i żeby się szanowała. Oto masz sprawiedliwość i wdzięczność!..

Zakończyła szerokim gestem i odplynęła obrażona, majestatyczna — prosto do kuchni:

— Niech mama sobie robi, co chce — rzekła do wystraszonej — ale ja na to dłużej pozwolić nie mogę! Do czego to podobne żeby matka poniewierzyła się po kuchniach... proszę, bardzo proszę!.. i, ująwszy ją pod ramię, par force z umączonemi rękami poprowadziła do kołyski syna. Tegoż dnia matka została uroczyście zainstalowana w dzieciennym pokoju. Nawet posłano jej tu łóżko, aby po nocy nie była zmuszona „nie wiedzieć po co“? wracać do swego mieszkania.

Odtąd na panią Michalinę zwały się obowiązki nianki. Kamaszniczka, mieszkająca przy schodach kuchennych o piętro niżej, która zdawien dawna знаła panią Sielicką: damę strojną i bogatą, postawioną od niej tak wysoko i tak daleko, jak gwiazda na niebie — widując ją teraz przy grubej robocie na jednym z sobą poziomie, wykrzykiwała przy otwartym oknie na cały dziedziniec: „Ne dziwota, że dzieci orzą nami, któreśmy się zostały biedne wdowy łaski jejich patrzące... Ale żeby taka uczona i bogata pani tak się poddała synowej?!... o dzieci!“ i waliła wleb dziesięcioletniego chłopaka, jak tylko się nawinął. Na uzdeczce miłości i cierpienia dała się zaprowadzić uczona i bogata Michalina Sielicka do komina i do kołyski. Cóż z nią począć? była znów „szczęśliwą“! przywiązała się całą potęgą osamotnionego serca do tego maleństwa, z którym spędzała teraz wszystkie godziny dnia i nocy. Teraz poczynała się znów dla niej Idylla Babki, rozwijająca się na tle ślicznej dekoracji. Stary, duży dom, ogród otaczał dom Sielickich, własność ich prywatna. Nad głowami szumiały odwieczne drzewa i ptactwo świergotało... słońce i wietrzyk ślizgały się po liściach i po włoskach śpiącego dziecka.. Snu tego, rozumie się, było co raz krócej, a coraz więcej gaworzenia i tych prób wszelkiego ruchu o początkach tak rozrzucających nieudatnych.. Budząca się cudowna świadomość brała w swoje królewskie posiadanie świat zjawisk — tak jak ta róża, która z wieczora jeszcze była pączkiem, a którą noc otwarła na przyjęcie wschodzącego słońca. Dziecko znało już doskonale wszystkie otaczające je ooby — a wtedy zaczęło babce oddawać wet za wet — z całym bezwzględem dziecka, akcentując swoją predylekcję dla niej. Doszło do tego że w żaden sposób nie można go było od babki oderwać!.. Ach, niebezpiecznym jest to wszystko, co jest bardzo! Już tę idyllę o pewnego czasu ścigały zazdrosne, rozjątrzone oczy... Młoda matka na widok ten aż ki-piała!..

(c. d. n.)

CHR. ROSSETTI

## ECHO

*Przyjdź, kiedy noc się chyli z ciszą swą;  
 W wymowną ciszę przyjdź, w milczące sny;  
 Przyjdź z miękka krasą lic, z tą w oczach skrą,  
 Jak blask, co w wodzie drży;  
 O, wróć we łzach  
 Nadziejo, serce lat, co zatonęły w mgłach.*

*O, śnie, dziś słodki zbyt, o gorzko słodki śnie,  
 Coś skończyć się li w Raju winien, tam,  
 Gdzie duchy, żaru pełne, znajdują się;  
 Wzrok u powolnych bram  
 W tęsknocie tkwi:  
 Otworzą, zawrą się, a wstecz nie puszczą drzwi.*

*Przyjdź jednak do mnie w snach, bym żyła znów,  
 Swe życie skroś chłód śmierci; głosem ech  
 Wróć do mnie, bym dać mogła w złudzie snów  
 Rytm za rytm, dech za dech:  
 Skroń swą skłoń... tuż,  
 Jak dawno — o mój ty... tak dawno już!*

TEOM. Z. REUTI-WITKOWSKA.



M A R J A D A B R O W S K A

4

## TYDZIEŃ W LUBELSKIM

W Szczebrzeszynie stanęliśmy w rynku na popas. Rynek był zabrudzony końskimi odchodami i pachniał stajnią. Napiliśmy się niedobrego piwa w małej piwiarni. Dwa piękne kościoły tego miasta grzały się w słońcu, owinięte błyszczącym szafirem nieba. Małe domki mają podcienia, wsparte na prostowatych drągach. Były to akurat żydowskie, tak zwane, Zielone Świątki. W żydowskich domach modlitwy i w synagodze okna były po otwierane. Wszędzie było widać nieprawdopodobne ilości Żydów, pookrywanych rytualnymi ręcznikami. W całym miasteczku brzmiał śpiew męczący, wyglądający na kłótnię z Bogiem. Ten śpiew, postacie w czarnobiałych tałasach, świece pozapalane, upał, od którego ziemia była gorąca, wszystko razem wyglądało trochę na jakiś rysunek sceny z Małej Azji czy Afryki. W mieście tem był kiedyś ośrodek postępu, kultury i oświaty, drugi na Małopolskę po Zamościu.

Do Zamościa jedzie się szosą, która jest wybrukowana we wzorzystą kostkę. Świszcz mówi, że jak na tej szosie rzucić piłkę, to kilka kilometrów polecą. To prawda, ale nasz wózek niema resorów, ani gum. To też jedziemy odtąd 24 wiorsty w piekielnym trzasku i hałasie.

Koło Zamojskiej szosy leży najpiękniejsze przedmieście Szczebrzeszyna. Tam znajduje się Magistrat i seminarjum nauczycielskie. Teraz do samego Zamościa rozpościerają się koło szosy równe pola, dobrze obsiane i pięknie rodzące. Jest już pszenica, są buraki. Mijamy wieś Wielęcę i olbrzymią cukrownię w Klemensowie.

Zamość widać już z odległości dziesięciu kilometrów. Leży na nieco falistych polach, jak broszka z pereł i koralu na złoto-zielono-szafirowym pasiaku.

Zbliższa okazał się jeszcze piękniejszy, okazał się tak piękny, że nie umiem słowami wyjawic jego uroku. W Polsce jest mało ludzi, kochających piękno, skoro to miasto nie jest celem wycieczek i artystycznych pielgrzymek. Nie zawarte w spisach oficjalnych piękności naszego kraju, jest jedną z najczarowniejszych jego miejscowości. Jest to miasto małe, jak dłoń — całe wybrukowane w równiutką kostkę kamienną, oświetlone elektrycznością i zabudowane ślicznymi starożytnymi domami.

Niema tu wcale przedmieść. Tam, gdzie kończą się ulice śródmieścia, zaczyna się zaraz starożytna fosa i za nią żyto. Księgarnia Pomarańskiego, która się znajduje w jednym z nielicznych nowożytnych domów Zamościa, „leży“ na skraju ślicznej, czystej, ruchliwej ulicy i zielonego pola.

W Zamościu stanęliśmy w hotelu, gdzie jest elektryczność, centralne ogrzewanie i kanalizacja, ale gdzie zdzierają z ludzi niesłychane ceny. Zamość przypomina co do piękności niektóre włoskie miasta, ale pod jednym względem je przewyższa. Cena hotelu jest w nim czterzy razy taka, jak w Wenecji.

Pożegnawszy się ze Świszczem, napisawszy krótki list do Frampola, umyliśmy się i poszliśmy na miasto.

Jadliśmy coś w miłej, czystej cukierni. Potem obeszliśmy rynek. Jest cały otoczony pięknymi kamieniami podcieniami, niby krużgankiem. Ratusz zajmuje jedną stronę. Ze swą złocistą wieżą z tarasem, spadającym na obie strony z cudnymi schodami, biały i radosny — daje się nietylko widzieć. Daje się niejako słyszeć, jak perlista chóralska pieśń.

W kolejalnym kościele nie można się oprzeć wrażeniu czci przy prostych słowach płyty Hetmana Jana Zamojskiego: *ic situs est Joannes Zamoyski*. Z dawnego pałacu Zamojskich, gdzie jest teraz Sąd Okręgowy, został tylko pobieżny zarys dawnej piękności. Od tego pałacu, na lewo, w obliczu zadrzewionych dziedzińców, stoją wysokie, przestronne białe gmachy. To dawna akademja Zamojskich. Teraz tu są państwowe gimnazjum i seminarjum Nauczycielskie.

Wtargnęliśmy tam po krótkiej chwili namysłu. Stary woźny oprowadzał nas po gmachu gimnazjum męskiego. Widziałyśmy prace uc-

niów, ich grafikony szkolne oraz dekoracje klas i sali teatralnej, przez uczniów zrobione, które przejęły nas podziwem. Gimnazjum to może służyć za wzór wielu warszawskim.

Wogóle szkoły i seminarjum Zamościa są ośrodkiem kultury, która napełnia dumą. To jest taka prowincja, o której się już nie myśli z pobłażliwym współczuciem, ale z szacunkiem.

Zachwycone tem, cośmy widziały, chodziałyśmy do zmierzchu po rynku, czekając, aż nad jego cudny czworokąt wypłynie błady księżyc.

Mury ratusza były coraz to bledsze i razem ze złotymi od księżycy domami świeciły cicho wśród łaskawej nocy.

(Koniec)

## ŻYCIE HANDLOWE FRAMPOLA.

(Rozdział trzeci: Tygodnia w Lubelskiem opuszczony w numerze poprzednim).

Obudziłyśmy się bardzo rano z powodu much. Pogoda była prześlizczona i w pokojach pełno rumianego słońca. Stwierdziłyśmy, że we Frampolu prawie niema ptaków śpiewających. Niema słowików, nie słychać nawet kukułki, chociaż podobno jest. Wróble tylko ostro ćwierkają. Kiedyśmy się ubrały, przyszła Sajowa, wyniosła brudną wodę, nabrała w usta czystej i zaczęła ją parskać po pokoju. Skropiwszy go w ten sposób, zamiotła bardzo skrupulatnie i skromnie wyszła. Ruszyłyśmy „na miasto“ — „badać życie“. Wszędzie było cicho, gdyż wszyscy mieszkańcy poszli sadzić kapustę, a dzieci — w szkole. Echa lekcji dochodziły niekiedy stąd i zowąd. Na jednej ulicy słychać było głos jakiejś roboty. Poszłyśmy tam. Tak jest, ulicę tę brukowano. Wysoki, siwowłosy pan Oleszek, jeden z patrycjuszów Frampola, coś tam też robił, głównie reprezentując powagę przedsięwzięcia.

— Czy tu można kupić leżak, spytałyśmy go, gdyż potrzebowałyśmy takiego sprzętu nie dla siebie, tylko dla kogoś, kto powinien leżeć na słońcu dla zdrowia.

— Nie, odparł — tu u nas ludzie stworzeni są do pracy — i spojrzal surowo. Okazało się jednak, że ma sklep, w którym są inne rzeczy do kupienia. Wstąpiłyśmy na ganek pod cień dzikiego wina, a stamtąd do obszernej izby z towarem. W sieni stały narzędzia rolnicze.

(c. d. n.)



## SPROSTOWANIE.

W poprzednim numerze „Bluszcza“ zaszła omyłka. Mianowicie: rozdział „Pożegnanie z Frampolem“, który stanowi koniec „Tygodnia w Lubelskiem“ został mylnie wydrukowany przed rozdziałami: „Życie Handlowe Frampola“ i „Życie Kulturalne Frampola“, które rozpoczynamy w numerze niniejszym.

J U L J U S Z W I R S K I

## IDYLLA NA ARKTYKU



o kilku dniach poznał krótką i prostą historję jej życia i przyczynę jej w tem miejscu obecności. Dowiedział się również, że nie wolno pod żadnym pozorem wypytywać o przeszłość Piotra czyli Wielkiego Białego Człowieka, jak go nazywała Alkase. Był już zdrowszy, choć rany piekły go i dokuczały niemiłosiernie. Całemi też godzinami, nie mogąc nic robić, wodził oczami za krzątającą się Alkase, a w spojrzeniu jego prócz wdzięczności taił się szczery podziw. Była istotnie śliczna, cudownie zbudowana i miała w każdym ruchu przedziwną śpiewność dziewczęcego wdzięku. Głęboki smutek, ukryty w ogromnych, żalonych oczach, i wielka jej dobroć i delikatność wrodzona, którą na każdym wprost kroku ujawniała, wzruszały do głębi młodego Anglika. Nie spodziewał się nigdy w tym kraju, gdzie zaledwie co kilkadziesiąt kilometrów spotykają się rzadkie osady krępych czukerów z ich potwornie brzydkimi żonami i córkami, spotkać tak urocze zjawisko, władające przytem wcale niezłe jego macierzystym językiem. To też od chwili, kiedy się poczuł silniejszym, rozmawiał z nią bezustanku. Pytał o Piotra, o gospodarstwo, warunki ich życia, zamiary i cele. Ostrożnie i chytrze starał się wybadać pochodzenie Piotra. Podejrzewał w nim jakiegoś zbiegłego z pobliskiej katorgi więźnia — przestępcę politycznego, a może nawet łotra. Alkase jednak nic mu nie mogła wyjaśnić, bo sama nie wiele wiedziała. Zaznaczyła tylko kilkakrotnie z mocnym naciskiem, że Piotra o to pytać nie wolno. Podkreślała też ustawicznie jego dobroć, rozum, łagodność, jak również fakt, że to on właśnie ocalił od śmierci cudzoziemca. Ona tylko pierwsza zauważyła niebezpieczeństwo, a uratował mu życie Piotr swoimi celnymi strzałami, wielką siłą i szaloną odwagą. Na całym świecie — od cieśniny Beringa aż do Jukonu, a nawet dalej — do pobrzeży Alaski nikt tak nie strzela, jak Piotr. I na całym świecie niema takiego silnego, odważnego i dobrego człowieka, jak on. James musiał wreszcie uwierzyć tym gorącym zapewnieniom, zwłaszcza kiedy z ręcznie, szelmowsko z ręcznie, wybadał przy-

czynę jej smutku. Teraz zdumienie jego doprawdy nie miało granic. „Co za dziwny człowiek który młodą, śliczną, jak marzenie, dziewczynę, omal że niewolnicę, traktuje, jak świętość, jak najprawowitsze dziecko.“ Kiedy się o tem dowiedział i, co ważniejsza, przekonał, poczuł, niewiadomo dlaczego, ogromny dla Piotra szacunek i niekłamana wdzięczność. Okazywał też mu jedno i drugie w sposób wytworny, światowy, ale szczerze i otwarcie. Jeszcze więcej się zdumiał, kiedy w tym ponurym i prostym napozór człowieku wyczuł wędchem pana z wielkiego świata — salonowca i nietylko światowego, ale nawet uczonego człowieka. Ale nieustanne prośby Alkase i ostrzeżenia, a także wrodzona każdemu Anglikowi dyskrecja nie pozwoliły rozwiązywać tej zagadki, naprawdę niesłychanie dlań ciekawej. Czuł się nadomiar gościem i dłużnikiem i byłoby wbrew wszelkiemu poczuciu honoru nadużywać przymusowej gościnności w ten sposób, żeby wdzierać się w tajemnice pana domu, na dnie których tała się napewno wielka i bolesna tragedia. Po dwu tygodniach, kiedy siły powróciły mu o tyle, że mógł się już na kilka godzin podnosić, poprosił Piotra o chwilę rozmowy. W krótkich słowach wyjaśnił, że jest obywatelem Anglii, pochodzi z Nottinghamu, gdzie jego ojciec, par Anglii, posiada znaczne dobra. Po ukończeniu studjów w Cambridge udał się z kilku przyjaciółmi w podróż myśliwską, i oto jak się ta wyprawa nieszczęśliwie skończyła. Prosił więc Piotra gorąco, żeby się udał w kierunku południowo-zachodnim, do miejscowości, coprawda na żadnej mapie nieoznaczonej, ale którą łatwo poznać po takich, a takich znakach i położeniu. Jego towarzysze zapewne szukają go teraz, ale umówili się jeszcze dawniej, że w tem właśnie miejscu założą obozowisko na kilka tygodni, i że ma to być punkt zborny dla wszystkich członków wyprawy. Trzeba przyjaciółom dać znać, gdzie się znajduje, a za dwa, trzy tygodnie, kiedy wyzdrowieje ostatecznie, sprowadzić wygodne sanie. Byłoby wprost okropne, gdyby wrócili do kraju ze straszną dla starych rodziców wieścią, że syn ich zginął bez śladu w tajemniczych przestrzeniach czukoskiej tundry. Rozważywszy prośbę gościa, Piotr

postanowił natychmiast jechać na poszukiwania. A że mogło to potrwać kilka dni, przygotował sanie i zapasy żywności na ten czas i zaraz nazajutrz, jeszcze przed świtem, ruszył.

Młodzi zostali więc sami w samotnem obejściu Piotrowem. Z początku Alkase zatrwożyła się tym pozostawaniem z człowiekiem, którego prawie nie знаła. W czasie jego najcięższego stanu, kiedy doglądała go i pielęgnowała z troskliwością matki, nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, że jest mężczyzną. Robiła, co jej nakazywał obowiązek humanitarny i poczucie ludzkości, a także serdeczna litość nad młodym, a tak blizkim śmierci człowiekiem. Teraz, jak ongi wobec Piotra, uczuła żywe zakłopotanie, i dawna obawa przed czemś nieznanem opanowała znów jej proste serce. Nie wiedziała, że Piotr przed wyjazdem miał pewną rozmowę z młokosem, w której, wyjaśniając, czemu jest dla niego dziewczyna, dał dyskretnie do zrozumienia, że gdyby ją, w czasie jego nieobecności, spotkała najmniejsza krzywda, to ani niebo, ani piekło nie uratowałyby z rąk jego, Piotra, owego bezczelnego śmiałka. Rozmowa ta o tyle była zbyteczną, że James, wychowany w ideałach demokratycznych dwudziestego wieku, nietylko nie uważał Alkase za równą sobie, ale miał głęboko wszczepione poczucie godności ludzkiej i praw kobiety. A przytem, w czasie niemocy, przywiązał się do niej szczerze i nawet odczuwał coś w rodzaju rzewnej czci dla tej niezwykle pięknej, dobrej, cichej i rozumnej dziewczyny. Pomimo wyrażnego typu indyjskiego, Alkase, urodzona na najdalszej północy, miała płeć jaśniejszą, niż inne Indjanki, a w rysach i zachowaniu coś europejskiego. Odpowiednio ubrana, mogła nawet uchodzić za kreolkę, w której żyłach płynie szlachetna i mężna krew białych zdobywców. Jednak, jeśli w zamiarach Anglika nie było nic, co by się dało podciągnąć pod pojęcie dybania na cnotę dziewczeczki, to jednak nie można powiedzieć, żeby od czasu do czasu nie rodziły się myśli pewne, bardzo jeszcze nieśmiałe, niezupełnie zdefiniowane, a przecieź nieodmienne krążące dokoła jej wdzięcznej postaci. Nie była to jeszcze miłość, ale coś bardzo pokrewnego z tem

uczuciem, coś, niby ciche, a słodkie preludjum, w którym bezdźwięcznie płaczą niewyraźne tęsknoty. Trzeba przyznać, że w całej postaci dziewczęcia, w jej ruchach, głosie, spojrzeniu i uśmiechu było coś, co bezwiednie zachwycało, zniewalało i nakazywało wszystkim uczucie serdecznej tkliwości. Jej stosunek do rannego chłopca, pełen delikatnej troskliwości, jej pracowitość, inteligencja, wreszcie — cierpienie, którego świętą tajemnicę chłopak posiadał, wszystko to sprawiało, że patrzył na nią, jak na istotę wyższą, otoczoną nimbem poezji i cierpienia. Przypomniła mu się przeszliczna Attala Chateau Briand'a i trudno było dla wrażliwego jego serca o żywszą i bardziej wzruszającą analogję. Wobec wyjazdu Piotra

James czuł obowiązek opiekowania się dziewczyną w miarę słabych swoich jeszcze sił. Będąc zbyt osłabionym, aby się jąć jakiegokolwiek cięższej roboty, towarzyszył jej jednak wszędzie z bronią w ręku na wypadek napaści ze strony białego niedźwiedzia, których tej zimy wyjątkowo dużo włóczyło się po całej okolicy. To nieustanne obcowanie, nacechowane zawsze kurtuazją i niemal pokorą, podbiło i uspokoiło dziewczynę ostatecznie. Poczula się bardzo bezpieczną i — o, dziwo! — odeszły od niej trapiące sny i tęsknoty. Oddawna nie czuła się tak swobodną od wszelkiej wewnętrznej troski, oddawna nie patrzyła w życie z taką dziecinną ufnością. Powoli, bezwiednie i najzupełniej bez udziału

woli i świadomości odbywała się w niej zmiana tajemnicza, nigdy nieodgadniona przełom dziewczęcego serca. Zaczęła stopniowo pojmować różnicę pomiędzy stosunkiem do niej Piotra a młodego przyjaciela i rozumieć różne, dotychczas zagadkowe, stany duszy swego potężnego opiekuna. Intuicją wyczuła raczej, niż się domyśliła, że tajemnica ojcowskiego dla niej sentymentu ze strony Piotra kryje się w jakimś innym uczuciu, snąc bardzo istotnym i niespożytem, skoro przetrwało lata całe zawsze to samo. Doznała uczucia ostrego nad nim żalu i objawienia jakiejś krzywdy niezasłużonej, i odtąd ten żal i to poczucie jego krzywdy towarzyszyły stale wielkiej o nim myśli.

(c d. n.)

WANDA MIŁASZEWSKA

16

## ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



Na te ostatnie święta przyjechaliśmy razem do Klimontowic. Razem! Ile gorczy zawiera dziś to słowo, jakim chłodem i pustką wieje od niego! Wówczas

wierzyliśmy, że nic nas nie rozłączy. Stała między nami drobna, wątła istota ludzka, która dziecięcym uporem i własną bezradnością złamała nasze święte przysięgi, wydarła cel i radość życia mnie — a może i jemu...

Pamiętam, jechaliśmy do Klimontowic polami. Zawiana śniegiem droga nie była jeszcze przetarta. Jasnowłose Andruk, który po starym Antonim „stangretował“, oznajmił uroczyście, otulając nam nogi szeroką baranicą:

— Zima — bo jest.

Nie czuliśmy jej, choć sanki skrzyślały, szorując płozami o niepokalane zawały śnieżne, choć para buchała z nozdrzy końskich i z naszych ust, choć nam na brwiach i rzesach osiadł szron gęsty i biały, a mróz smagał policzki. W sercach czuliśmy wiosnę, tę najjaśniejszą, która tylko raz w życiu zakwita, wiosnę naszej miłości.

Na jakimś zakręcie (krzyż tam stał, otoczony krzakami głogu, którego owoce krwawiły się jeszcze wśród ciernistych gałązek) Zbigniew mocniej ogarnął mnie ramieniem

i spytał z niewypowiedzianą tkliwością w głosie:

— Nie zimno?

Potrząsnęłam głową na znak, że wcale mi nie zimno. Nie mogłam nawet mówić, bo mi w tej chwili szczęście odjęło głos i najmilsze słowa straciło z powrotem w głąb serca. Ale Zbigniew ozwał się znów po chwili:

— Krysiu?

Obróciłam ku niemu rozpromieniony wzrok.

— Jedziemy! — rzekł.

— O, tak! Jedziemy! — powtórzyłam tę wielką nowinę.

Podróż skończyła się dziwnie prędko. Zdaleka dostrzegliśmy już wszystkich, oczekujących na ganku. Był tam pan Dziechciński, łysy, jak kolano, i mocno postarzały w ciągu ostatnich lat, była Emilka w narzuconym naprędcie kożuszku i „ciocia Józia“, niklejsza jeszcze w swojej czarnej sukni, której nie porzuciła od śmierci Adasia. Wymachiwali w naszą stronę rękami i wołali coś, a gdy sanie stanęły, pan Dziechciński huknął swoim poczciwym basem:

— Jakże tam droga? Bardzo zawiało?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałam na progu domu, do którego tęskniłam przez wiele, wiele miesięcy. Odpowiedziałam ze łzami szczęścia w głosie: „O, zawiało!“ i jednocześnie zaczęłam ścisnąć Emilkę, całować ręce pani Rym-

szyny, „Jego“ matki, potem ścisnęłam znowu Emilkę, a łzy już na dobre płynęły mi po zmarzniętych policzkach.

Wśród wykrzykników, zapytań i odpowiedzi, krzyżujących się z sobą, wprowadzono nas do jadalni. Śniadanie, jako w dzień wigilijny, było postne i skromne. Do tej chwili nie mogę zapomnieć, jak z ustami, pełnymi sera, musiałam informować ciocię Józję, że moje uczennice są bardzo grzeczne, że nie wszystkie studentki mają obcięte włosy, że Wawel stoi na miejscu, a w teatrze grywają do dziś dnia „Kościuszkę pod Racławicami“, jak wówczas, gdy pani Rymszyna zawiozła swoich chłopców do Krakowa, aby się „nałykali tej ojczyzny kochanej“.

Widząc mą kłopotliwą sytuację (walczyłam bowiem bohaterko z serem), Zbigniew umyślnie począł dorzucać coraz nowe pytania, tak, że nie mogłam przełknąć dławiącego kęsa; pogroziłam figlarzowi oczami, ale on patrzył na mnie z miną łobuzerską i śmiał się w najlepsze. Wreszcie Emilka przyszła mi z pomocą:

— Poczekajcież trochę! Dajcie jej chociaż śniadanie dokończyć!

W tej samej chwili drzwi się otwarły i w progu stanęła Ela. Boże, jakże się zmieniła! Z nijakiego podlotka stała się nagle dorosłą panną! Włosy miała skręcone po bokach w misterne „kukielki“,

przeplecione wstążką, suknię prawie do kostek, pantofle na francuskich obcasach. Błada i wąska jej twarzyczka, nazwana ongi przez Adasia „lisim pyszczkiem“, wyciągnęła się jeszcze i wydawała szczuplejsza, może dzięki uczesaniu; czarne oczy patrzyły inteligentnie z pod cienkich, jakby ołówkiem narysowanych, brwi.

W tej chwili wyraz jej twarzy znamionował gwałtowną walkę pomiędzy szczerą chęcią rzucenia mi się na szyję, a obawą, że taki odruch może być poczytany za dziecinną. Wybrała coś pośredniego: podeszła wolno, z namaszczeniem ucałowała mię w oba policzki i rzekła serdecznie:

— Tak się cieszę, że wreszcie przyjechałaś!

Dopiero teraz spostrzegła Zbigniewa, a może udała, że go dopiero zauważyła, gdyż dodała ze zdziwieniem:

— Ach, i pan tu jest! Zapomniałam, że mieliście państwo przyjechać razem.

Słowo „pan“ było zaakcentowane bardzo wyraźnie. Podczas nielicznych wakacji, które Zbigniew spędził w Klimontowicach, mówiła zawsze do niego w trzeciej osobie, a on ją prosto nazywał Ela albo nawet — o, zgrozo — smarkulą! Widocznie teraz Ela chciała zaznaczyć niestosowność tego „tykania“ i jednocześnie uprzedzić, że chce być traktowana z całym respektem. Ta scenka tak mię rozśmieszyła, że, przelknąwszy wreszcie ser, parsknęłam śmiechem. Zbigniew natomiast odparł z niezmaconą powagą:

— Czy wolno mi na powitanie, po tak długim niewidzeniu, ucałować rączkę „panny Elżbiety“?

Ela zaczerwieniła się. Było jej z tym rumieńcem bardzo „do twarzy“. Wogóle wyglądała zupełnie inaczej, wydawała się prawie ładna. Z czarniawego pączka wyrósł kwiat, może nieco wąły i błady, ale nie pozbawiony uroku. Patrząc na nią, na jej ruchy „dystygowane“, na jej usta, rozchylone w dyskretnym, konwencjonalnym uśmiechu, powtarzałam w duszy ze zdumieniem: „I to jest Ela, ta sama Ela, którą lajałam za palce, powalane atramentem, i za błędy ortograficzne, jakich nie brakło w dyktandach!“

W kilka miesięcy później przyszło mi pomyśleć z jeszcze większym zdumieniem:

— I to ona, ona jest przyczyną mego nieszczęścia! Ona właśnie...

Tak, właśnie ona. Ta moja droga, mała Ela, dla której tyle miejsca przeznaczyłam w sercu, zdeptała to serce bez zahania z egoizmem, na jaki tylko rozpieszczony i psute przez wszystkich dziecko zdobyć się potrafi.

## XX.

Na tłusty wtorek otrzymałam zaproszenie od pani Bujakowskiej, żony tutejszego aptekarza. Bardzo różowy, bardzo pachnący konwalją bilecik: „Mamy nadzieję, że pani nie odmówi nam i przyjdzie na herbatkę z faworkami. Szekamy między czwartą a piątą pp. Będzie kilka osób znajomych“.

Kilka osób znajomych byli to naturalnie panna Leonka, młody nauczyciel z czwartego oddziału, asystujący jej bardzo wyraźnie, siostra proboszcza, kierownik poczty i jeszcze jakiś wyrostek, tytułujący panią Bujakowską rozkosznym mianem „kuzyneczki“.

Przyszłam o piątej. Całe towarzystwo siedziało już dokoła okrągłego stołu, nakrytego przedziwnym obrusem w czerwone i szare kwiatki. Na dużym, nieco wyszczerbionym półmisku złożyły się sławetne faworki, których poważną część unicestwili już zebrani goście przed moim przybyciem.

— Nareszcie! Witam drogą panią! Ciągłeśmy tu o pani mówili! — wykrzyknęła aptekarzowa, zrywając się z krzesła i śpiesząc z wyciągniętą rękoma na moje spotkanie. Ten wylew serdeczności natrafił na niespodziewaną przeszkodę w postaci wywróconego krzesła, o które uprzejma gospodyni zawadziła nogą w pośpiechu. Zdarzenie to spowodowało zamęt wśród zebranych. Jedni rzucili się podnosić krzesło, inni śpieszyli z pomocą aptekarzowej, która o mały włos nie utraciła równowagi. Tylko panna Monika, przygłucha siostra proboszcza, nie ruszywszy się z miejsca, wrzasnęła, z ustami pełnymi faworków:

— Wczas pani zjawiła się, bo by my to wszystko sami bez pani pojedli!

I poczęła sobie nakładać nową, tęgą porcję z półmiska.

— Proszę siadać! Proszę siadać! — rzekła aptekarzowa, ochłonawszy i ucałowawszy mię dokumentnie w oba policzki. Okazało się jednak, że zaproszenie było trudne do wykonania, gdyż jedyne wolne krzesło, to właśnie, które upadło na ziemię, nadwyrężyło sobie w tej przygodzie nogę, wobec czego, po krótkich certowaniach, jasnowłosy nauczyciel (nazywa się Dąbek) przysunął sobie do stołu prostą drewnianą skrzynkę i wcisnął się pomiędzy

mnie, a swoją Dulcyneję, pannę Leonkę, rezygnując nawet z dostępu do przysmaków na stole.

— Doprawdy, aż mi wstyd! — tłumaczyła się pani Bujakowska — z temi naszymi meblami istna kompromitacja! Krzesel mało, a i to się ciągle łamią. Ale my tu tylko przełotem, więc mówię: nie warto rzeczy sprowadzać na taką poniewierkę. Jak Stasiuńcio dyplom zrobi i dostanie praktykę w większym mieście, wtedy dopiero urządzimy dom, jak się należy! Sprowadzimy wszystko: garnitur salonowy, sypialnię, fortepian... A teraz, ot, aby czemkolwiek kąty zastawić...

I wskazała owe „kąty“, istotnie pozostawiane gratami tak szczelnie, że trudno było lawirować w tem wszystkim, i nie dziw, iż co chwila ktoś o coś zawadzał i wywracał z hałasem.

Zasadniczym tematem rozmów aptekarzowej jest przyszły doktorat jej męża, bujający, jak dotąd, w obłokach. Pani Bujakowska popochodzi aż z Nowego Targu, tu znalazła się właściwie „przypadkiem“ i mieszka tylko „chwilowo“, co każdemu przy każdej sposobności klaruje i przypomina.

— Bo widzi pani, — rzekła mi zaraz po poznaniu (proboszcz nas sobie przedstawił na plebanji) — ja pochodzę z Nowego Targu i mam tam własną wille. Bardzo ładną wille z ogródkiem. A drugą wille mam w Zakopanem, może jeszcze ładniejszą. Jakem się ze Stasiuńciem zaręczyła, radził mi dalej prowadzić pensjonat, ale ja sobie pomyślałam inaczej: Cóż to mam zawsze tym pensjonatem kłopotać? Lepiej odnajmę obie wille, a on niechaj się uczy. Mąż, naturalnie. Miał być doktorem, właściwie już mu tylko roku brakowało do ukończenia studjów... Powiedziałam mu jeszcze przed ślubem: jak zdasz, Stasiuńciu, egzaminy, to ci podaruję wille, nawet tę w Zakopanem, choć ładniejsza. Podaruję ci ją na własność. Trzeba przecież, żeby doktorem został. Za przyszłego doktora wychodziłam, a nie za farmaceutę. Ale on, ten mój Stasiuńcio — poeta! Wiecznie w obłokach, wiecznie rozmarzony i ja za niego o wszystkim muszę myśleć i pamiętać... Namówiłam go, żeby, chociaż tymczasowo, kursy aptekarskie skończył... Tę apteczkę mu także kupiłam tymczasowo, bo to bardzo niezdrowo dla młodego mężczyzny tak siedzieć bez żadnego zajęcia. Ale jak Stasiuńcio doktorem zostanie, w dużym mieście zamieszkamy, to meble sprzedę i gabinet mu urządzę i wille na jego imię przepiszę. Bo co obiecałam, to święte. Słyszysz, Stasiuńciu?

(c. d. n.)



## ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

Najpotężniejszym odkryciem XIX w. było stwierdzenie tożsamości komórek u wszystkich istot żyjących.

Rośliny, zwierzęta i ludzie stworzeni są z komórek, które, stopniowo wyróżniczkowując się przez różnorodność swych form, łąceń i właściwości, dały życie owej niezliczonej ilości istot, wypełniających wszechświat. Mamy żyjątko na najniższym poziomie rozwoju, które istnieją li tylko pod postacią pojedynczych komórek, jak n. p. mikroby, ale, tak one, jak i te, co są na najwyższym obecnym szczeblu rozwoju, mają jednakową podwalinową substancję żywotną wspólną — proto plazmę.

Wszystko, co żyje, rozmnaża się, karmi, stopniowo rozwija i umiera; wszystkiemu do życia potrzeba wody, powietrza, ciepła i pokarmu, i wszystko jest wrażliwe na wpływy zewnętrzne. Na różnych szczeblach rozwoju będące istoty mają wspólną konieczność oddychania i trawienia; zachodzi tylko różnica w organach, do tych funkcji przeznaczonych, ale cel i rezultat jest ten sam. Sen jest niezbędny każdemu organizmowi — a rozmnażanie się wiecznie jednakie: z zarodka rodzicielskiego. Gdyż nie istnieją pokolenia, samorzutnie na świat przychodzące, ale wszystko, co żyje dziś tak w świecie roślinnym, jak zwierzęcym, pochodzi od przodków, którzy poprzedzili na miliony lat podczas perjodów geologicznych, czego dowodzą liczne odkrycia naukowe i przekroje ziemi, stwierdzające pokładami swymi o ciągłości w rozwoju świata zwierzęcego i roślinnego, rozwoju, im dalej wstecz — tem na prostszych formach polegającego.

A jak się odbywała ewolucja wzwyż?

Jest wiele teorii, nad którymi się zastanawiać nie będziemy. W każdej tkwi część prawdy, ale wystarczy zauważyć, że każde żywe istnienie, rodząc się, przechodzi wszelkie fazy rozwoju poprzedzających je pokoleń.

I człowiek w łonie matki jest niczem więcej, jak zwyczajną pojedynczą komórką, która, zapłodniona w swych etapach rozwojowych, stanowi obraz skończony rozwoju istnień poprzednich, zmierzających poprzez wszystkie miliony lat do tego, czem jest obecny skończony człowiek.

Istnieje zatem niezaprzeczalna tożsamość procesów żywotnych u wszystkich istot żyjących, a za-

tem idea pokrewieństwa powszechnego pomiędzy wszelkiem stworzeniem logicznie się z tego wysnuwa.

Pierwiastek duchowy organizuje materję. Ale pierwiastek ten też wspinał się wolno po szczeblach milionów przeobrażeń istnień, zanim doszedł do swej pełni w ludzkości.

To, że zwierzęta stanowią przykład stopniowania rozwoju duchowego od najpierwotniejszego aż do człowieka obecnego, co stworzyło w starożytności hipotezę reinkarnacji tegoż samego istnienia, wznoszącego się własnym wysiłkiem po stopniach coraz wyższego rozwoju nieprzerwanie aż do naszego poziomu.

Reinkarnacja u zwierząt nie jest prostą hipotezą. Ona się już dziś opiera na poważnych podwalinach, które przyszłość może tylko umocnić. I wtedy dopiero w całej pełni zrozumiana będzie rola zwierząt tu, na ziemi!

Teorja czysto materialistyczna ewolucji fizycznej spoi się z pojęciem ewolucji pierwiastka duchowego, przesuwanego się po szczeblach królestw niższych, aby dojść do etapu dzisiejszego człowieka i wznieść się dalej, do innych, nieznanych, wyższych przeznaczeń, gdy się nareszcie wyzwoli i wyrwie hamulcom i pętom ziemi.

Drogi owej dalszej ewolucji ducha zasłania dotąd nieprzenikniona zasłona... Ale też ten tylko duch, co w męce pochodu toruje sobie i znajduje nowe drogi dla siebie, ten tylko zdobywa pierwiastek Bóstwa, do niego dąży i z nim się zleje.

Doktryna reinkarnacji „Polingeneza“ po grecku — „Polin“ — na nowo, „genesis“ — urodzenie, powstała w kolebce całego intelektu ludzkości — Indjach.

W księgach „Weddy“ oraz w „Bhagavad Gita“ znajdujemy:

— Dusza nie rodzi się i nie umiera nigdy; nigdy nie urodzona, nie potrzebuje się odradzać; bez urodzenia (poczęcia), bez końca, wieczysta nie jest zabijana, gdy się zabija ciało. Jakże może ten, co ją zna niezniszczalną, wieczystą, bez poczęcia i końca, jakże może sam zabić lub zabić kazać?

— Jak się zrzuca zniszczone odzienie, aby włożyć świeże, tak dusza zrzuca ciało zniszczone, aby się okryć świeżem...

— Udoskonalona wielokrotnymi wcieleniami, siłą ewolucji wywyższy się pragnień i namiętności destrukcyjnych dla siły ducha — udoskonalona — nie wraca więcej.

— Księgi Wedy mówią dalej: „Doszedłszy do mnie, te dusze wielkie, co osiągnęły najwyższą doskona-

łość, nie wrócą więcej w to życie znikome, pobyt wyklętych“...

W Grecji — Pythagoras pierwszy wprowadził doktrynę o reinkarnacji, z którą zapoznał się w czasie swych podróży po Egipcie i Persji. On to nazwał ją „Polingenezą“. Doktryn tych było dwie. Jedna dla ciemnego ludu, druga dla wtajemniczonych.

1. Dla „wtajemniczonych“ wznoszenie się było stopniowem, stałem doskonaleniem się, ciąglem naprzód, bez załamań wstecznych, bez cofania się w niższe formy.

2. Dla mas ludowych ciemnych była doktryna druga, która dała początek metapsychozie. Dusze złe, zatwardziałe w grzechu, miały się odradzać w zwierzętach.

Charakterystycznym u Greków było to, że Herodot, mówiąc o doktrynie egipskiej, podkreśla niezbędną rolę dusz poprzez ciężkie próby wcielań w ciała zwierząt, nadając tymże wcieleniom charakter karalności, co jest zasadniczym błędem pojęcia o metapsychozie. Bo w pojęciu tem o karalności jest degradacja. Tymczasem etap wędrówki dusz poprzez ciała zwierząt w pojęciu Persów n. p. to etap ewolucyjny — od stopni niższych, poprzez zwierzęta, do człowieka i wzwyż.

(c. d. n.)

Janina Maszewska-Knappe.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



### USUWANIE ZAMEŻNYCH NAUCZYCIELEK.

Wobec debatowanego obecnie w Szwajcarii projektu usuwania zamężnych nauczycielek szkół powszechnych, organ stowarzyszeń kobiecych szwajcarskich, „Schweizer Frauenblatt“, zamieszcza obszerny artykuł, zawierający szczegółowe zestawienie stanu tej sprawy w innych państwach europejskich i w Ameryce. Zestawienie to podajemy w streszczeniu:

We Francji wszyscy nauczyciele szkół powszechnych — czy to mężczyźni, czy kobiety — mają jednakowe prawa i jednakową płacę. Nauczycielka, wychodząca za mąż, nie traci swego zajęcia i nie jest narażoną na żadne ograniczenia, z wyjątkiem wypadku, gdy wychodzi za mąż za cudzoziemca, wtedy bowiem traci obywatelstwo fran-

cuskie. Obecnie jednak istnieje już projekt ustawy, zezwalającej na zatrzymanie obywatelstwa francuskiego po zaślubieniu cudzoziemca. Z chwilą wejścia w życie tej ustawy, jedyne dotychczasowe ograniczenie zupełnego równouprawnienia nauczycielek francuskich zostanie zniesione.

W Niemczech przed rewolucją 1918 r. nauczycielki zamężne nie były dopuszczane do szkolnictwa powszechnego, po proklamowaniu jednak republiki niemieckiej wszelkie ograniczenia zostały zniesione, i dziś liczba nauczycielek zamężnych w Niemczech jest bardzo znaczna.

W Austrii sprawa przedstawia się znacznie gorzej. W samym Wiedniu nauczycielki zamężne są tolerowane, na prowincji jednak są faktycznie usuwane pod najrozmaitszymi pozorami, pomimo iż niema ustawy, wzbraniającej przyjmować na posady rządowe nauczycielek zamężnych.

W Anglii istnieje również bardzo silna tendencja lokalnych władz szkolnych do usuwania zamężnych nauczycielek. Znaczna większość prowincjonalnych zarządów szkolnych wystąpiła z żądaniem uwalniania nauczycielek z chwilą ich zamążpójścia. Ze stanowiskiem tym walczy usilnie — choć, jak dotychczas, bezskutecznie — Narodowy Związek Nauczycielek Angielskich (National Union of Woman Teachers).

W Holandji sprawa ta jest jeszcze dotychczas nierozstrzygnięta. Według statystyki z dn. 1 stycznia 1924 r. na ogólną liczbę 6126 nauczycielek szkół powszechnych 781 było zamężnych. Stronnictwa prawicowe wniosły do parlamentu projekt ustawy, wedle której nauczycielka, nie mająca lat 45-ciu, w razie wyjścia zamąż traciłaby prawo do nauczania. Stronnictwa lewicowe są przeciwne tej ustawie, ponieważ jednak są one w mniejszości, zachodzi obawa, iż prawo to może zostać uchwalone.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nie istnieją wprawdzie żadne specjalne ustawy, ograniczające prawo do nauczania nauczycielek zamężnych, w praktyce jednak wiele lokalnych wydziałów szkolnych wprowadziło u siebie te ograniczenia. W stanie nowojorskim władze sądowe wydały rozporządzenia, aby żaden z Zarządów szkolnych nie usuwał nauczycielki z tego jedyńie powodu, iż wstąpiła ona w związku małżeński.

Z. B.

## REFLEKSJE

### W OBRONIE POKRZYWDZONYCH

Mężczyźni lubią w wielu okolicznościach powtarzać, że kobieta jest naturalną opiekunką nieszczęśliwych i pokrzywdzonych.

Inna rzecz, że za tym pięknym komplimentem kryje się — świadome czy nieświadome — ale całkiem zwyczajne wyrachowanie. Na tom kobiecym miłosierdziu, na jej gotowości do opiekowania się cierpiącymi można zawsze zrobić dobry interes.

Prawdą jest, że kobieta sama, pod wielu względami pokrzywdzona, więcej odczuwa i współczuje ucisknionym.

Prawdą dalej, że dzięki temu budzi się w niej naturalna potrzeba niesienia pomocy innym. Ale czy może ona zawsze wywiązać się z tego zadania? Czy może opiekować się, bronić, pomagać, sama będąc słaba — staba nie tylko wskutek swojej organizacji fizycznej, ale osłabiona wskutek zbytnej wrażliwości uczuciowej i — co najważniejsze — wskutek swojego stanowiska społecznego.

Kobietom brak wyrobienia społecznego, brak solidarności. Mimo szumnych pozorów równouprawnienia, kobieta nie ma jeszcze najmniejszego wpływu na formy życia publicznego: na ustawodawstwo, na politykę, na administrację, sądy i szkolnictwo. Nie tylko czynem, ale nawet słowem kobieta dotychczas nie ośmiela się zabierać głosu w tych sprawach. Jest to jeszcze ciągle wyłącznym monopolem mężczyźni.

Twierdzą oni, jakoby kobieta nie miała odpowiedniej równowagi psychicznej — innymi słowy: poczucia sprawiedliwości i dostatecznych zdolności logicznych, aby móc stanowić prawa.

O, ironjo losu! Niema chyba dziedziny myśli ludzkiej, gdzieby nagromadzono więcej nie tylko nadużyć, ale rażących sprzeczności, niż właśnie w prawie! Co za skarbnica nonsensów i przewrotności! A wszystko na to, aby pozorami sprawiedliwości pokryć fakt protegowania silniejszych.

I oto zbliżam się do sedna. Chodzi mi mianowicie o jedną z ustaw naszych, niedawno wydaną — o ustawę w sprawie zwrotu długów przedwojennych.

Ustawa o długach! Szanowne Czytelniczki chcą przerwać czytanie? A jednak proszę mi wierzyć, że nawet ustawa — zwłaszcza ustawa niesprawiedliwa — bywa często rzeczą bardzo ciekawą, wywołuje bowiem zjawiska życiowe, niestety, aż nazbyt sensoryjne. Proszę mi wierzyć, że możnaby pisać wielotomowe, interesujące powieści o tych nieszczęśliwych, których ustawa ta najniesprawiedliwiej krzywdzi.

Ludzie ci przed wojną zaliczali się — jeśli nie do bogatych, to w każdym razie do zamożnych. Dziś zepchnięci zostali na dno nędzy. Ludzie przeważnie starzy, pracownicy, którzy na tych właśnie oszczędnościach opierali całe swoje ubezpieczenie na starość.

Wejście dziś do ich domów, wejście w ich grozę przejmujące ubóstwo, a jeśli serca wasze nie zadrzą litością i wyrzutem...

I w imię czego dzieje się to, co się dzieje?

Pytam wszystkich tych obywateli, którzy, nie będąc szczęśliwymi dłużnikami przedwojennymi, zachowali jeszcze niezależność sądu: czy naprawdę uważają tę

ustawę za sprawiedliwą — a jeśli nie: dlaczego nikt nie ma odwagi przeciw niej wystąpić?

Gdy państwo, kierując się — słusznie czy niesłusznie — względami społecznymi, wystąpiło z projektem reformy agrarnej, zawrzało wśród możnych posiadaczy rozległych latyfandów. Podniosła alarm opinia publiczna, uderzył na wszystkie tony pewien odłam prasy, a walki sejmowe, tej sprawie poświęcone, trwały całe miesiące. A jednak chodziło tam o wywłaszczenie częściowe tylko właścicieli wielkich majątków, o wywłaszczenie stopniowe i zresztą skompensowane odpowiednimi kwotami pieniężnymi.

Dlaczego teraz, gdy pojawiła się ustawa, która bez potrzeby i bez korzyści państwa jednych obywateli wywłaszcza na rzecz drugich — wszyscy dziwnie milczą?

Bo gdybyśmy nawet chcieli dopatrzeć się w dewaluacji pieniądza cienia pozoracji do zanulowania długów wekslowych (daje się, że kupcy, gros dłużników wekslowych, nie robili złych interesów na wojnie), do zanulowania oszczędności w kasach i bankach (choć wiadomo, że banki na dewaluacji świetnie zarabowały) — to jaki pozor wymyśleć do zanulowania długów hipotecznych?

Z jakiej racji ktoś, kto dzięki pożyczonym pieniądzom uzyskał lub conajmniej utrzymał własność nieruchomą, która, jak wiemy, nie tylko nie straciła, ale grubo zyskała na wartości — ma dziś swojemu dobrodziejowi, który mu do tego dopomógł, zwrócić tylko 10 proc. pożyczonych pieniędzy — a z 90 proc. (!!) ma go ograbić?

I uprzytomnijmy sobie jeszcze jedną stronę tej sprawy. Wszak większość tych właśnie nieszczęśliwych wierzycieli hipotecznych, to ludzie spokojni i skromni, którzy oszczędności swoje lokowali na minimalny procent (wiadomo, że procenty hipoteczne były najniższe). A większość ich dłużników, to przeważnie spekulanci, którzy z formalnych tylko właścicieli (bo za cudze pieniądze) stają się teraz nagle, dzięki tej ustawie, bez pracy i zasług faktycznymi posiadaczami wielkich majątków.

Czy interes społeczny i moralny państwa odniesie z tego korzyści? Czy na takim niesprawiedliwym przewarstwowieniu państwo przynajmniej zyska? Z jakiegokolwiek punktu widzenia patrzeć będziemy na tą ustawę: z moralnego, logicznego, ekonomicznego, a nawet prawnego, trudno doprawdy zrozumieć, jak taka ustawa powstać mogła, trudno uwierzyć, że znalazła sankcję.

Mówiono jakoby o rewizji tej ustawy — ale dziwnie cicho i skromnie. Mam wrażenie, że władze same nie wiedzą dobrze, co z tym fantem zrobić. Opowiadano mi o wypadkach procesów, na tem tle powstałych, w których sędziowie o wrażliwym poczuciu sumienia nie kierują się brzmieniem ustawy, ale radzą polubowną ugodę. Rozmaite krążą wersje na ten temat, a nawet samo brzmienie ustawy rozmaicie bywa komentowane.

A tymczasem nieszczęśliwi wierzyciele, ci właśnie najspokojniejsi obywatele, nie wiedzą sami, co robić. Życie ich upływa w nędzy, podczas gdy za ich pieniądze zdobyty dostatek służy innym.

Nikt o nich nie wie, bo to są właśnie ci ludzie, którzy cicho pracowali, oszczędnie żyli i w poczuciu karności obywatelskiej wolą cierpieć, niż bronić się przeciw ustawie.

Jeśli kobieta naprawdę jest powołana do obrony pokrzywdzonych, jeśli zdobyte równouprawnienie nie miało tylko zadowolić naszej próżności, ale dać możność rzetelnej pracy i służby obywatelskiej — niechże nasze posłanki w sejmie wystąpią z inicjatywą w tej sprawie, a organizacje i pisma kobiece napewno ich usiłowanie poprą.

K. S.

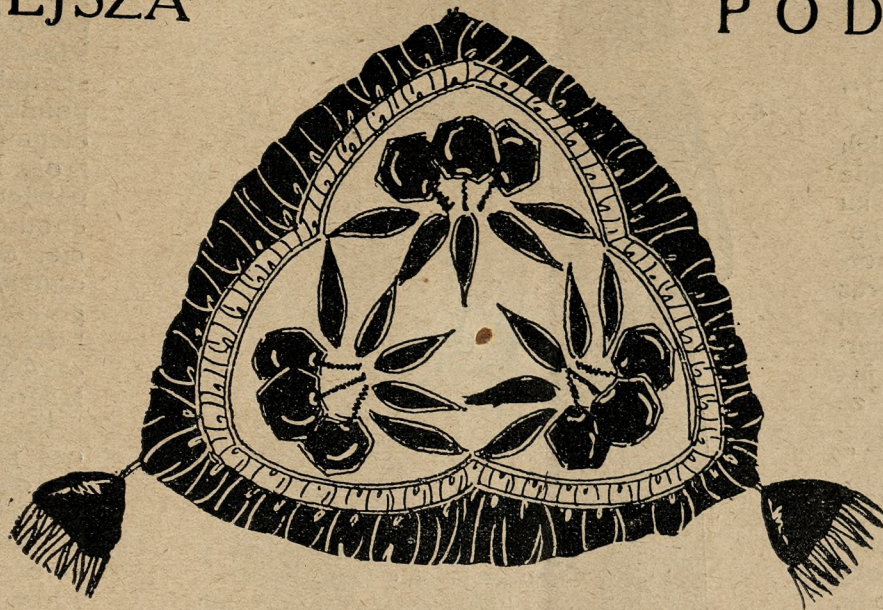


## NAJMODNIEJSZA

## PODUSZKA

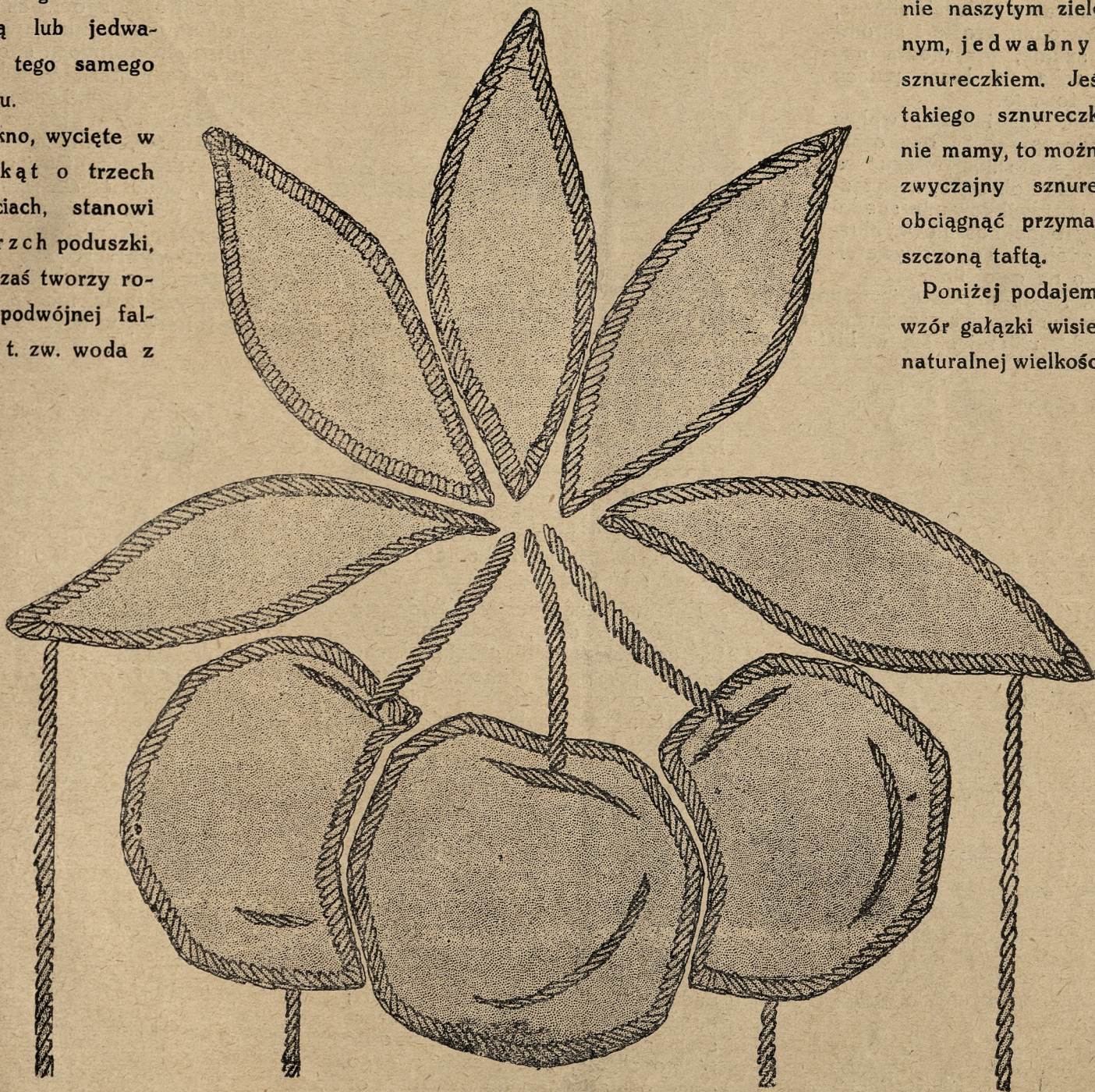
Poduszka, którą widzicie, jest zrobiona z białego sukna i z zielonego jedwabiu. Na tle białym aplikowane są gałązki wisien naturalnego koloru, t. j. ciemno-ponsowe owoce i zielone listki, wycięte z sukna i przydziergane bawełną lub jedwabiem tego samego koloru.

Sukno, wycięte w trójkąt o trzech wcięciach, stanowi wierzch poduszki, boki zaś tworzy rodzaj podwójnej falbany t. zw. woda z



zielonego-oliw jedwabiu świecącego lub z tafty. Tę wodę przyszywa się na moc do trójkątnej poduszki, wypchanej pierzem, a na wierzch naszywa się sukno, ozdobione aplikacją, przytwierdzając je podwójnie naszytym zielonym, jedwabnym sznureczkiem. Jeśli takiego sznureczka nie mamy, to można zwyczajny sznurek obciągnąć przymar szczoną taftą.

Poniżej podajemy wzór gałązki wisien naturalnej wielkości.



## SPORTY I MODA „A LA GARÇONNE“

Już się tak w ostatnich latach, że wszelkie przejawy mody, dążącej ku przystosowaniu stroju kobiecego do czynnego i sportowego życia, jakie coraz częściej prowadzi, noszą szumne miano „à la garçonne”. Spotykamy się już nawet w „literaturze” ze spolszczeniem określenia tego, które brzmi „garsonka”.

Zastanawiam się często nad problemem dotąd rozwiązany, czy zawdzięczamy sportowi zwrot mody ku prostocie, czy też moda, narzucając nam tak śliczne, a wygodne, proste i skromne suknie, przywiodła nas za rękę do bram pałacu sportowego.

Tak czy inaczej, wpływ mody na sport i odwrotnie dają się silnie wyczuć w świecie kobiecym, a wyraźne uprzywilejowanie spodni i wygodnej koszulowej bluzki zdobywa sobie obywatelstwo na całej linii.

W Anglii młode dziewczyny, grające w tenisa, zarzuciły spódniczki, ubierając się w białe spo-



znajdziemy się w posiadaniu kostjumu sportowego, podróznego i spacerowego. Płaszcz, zarzucony na taką spódniczkę i kamizelkę, dopełnią zawsze świeża i elegancką bluzką, stanowiąc mogą kostjum podrózny, odpowiedni do wagonu, samochodu, na statku czy okręcie, a że przytem jest on codziennym zjawiskiem w górach, przy golfie lub hockey'u, trudno mu zaprzeczyć praktyczności i szerokiego zastosowania.

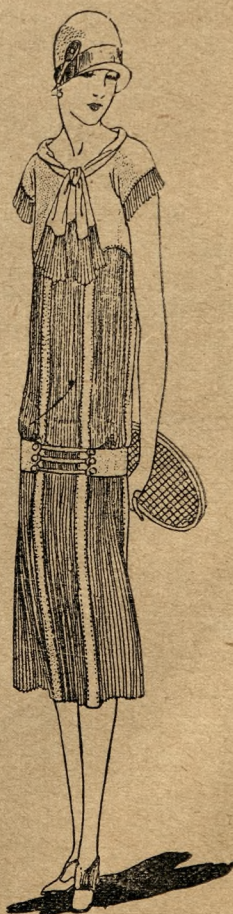
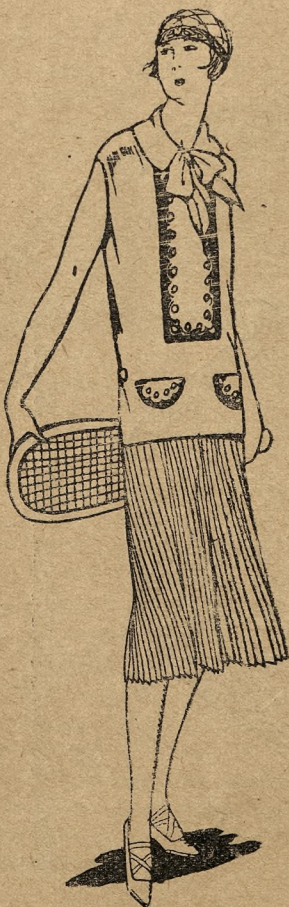
Spodeńki damskie nie kończą jeszcze na tem swego panowania. Królestwo tej wygodnej mody ma szeroko zakreślone granice. Sięga ono z ustronia domowego, które lubuje się w długich, jedwabnych spodniach i narzucanych na nie barwnych bluzach o linjach swobodnych z materiałów jedwabnych, lśniących i matowych, a zawsze o przedziwnej miękkości, bluzach, które, przewiązane fantazyjnym pasem, układają się malowniczo, przez szczyty górskie aż na piaszczyste plaże naszego wybrzeża.

Czyż potrzebnym będzie komentarz, że wszystkie te modne udogodnienia chodzą w parze ze smu-

deńki i swobodną bluzę. Spodeńki, sięgające powyżej kolan, i białe pończochy, zwinięte pod kolanem na wzór pończoch, używanych do ubrań sportowych męskich, odsłaniają krągłe kolanka; krótka czupryna, w naturalne lub sztuczne loki zwinięta, pozwala na swobodne odkrycie głowy, która nie troszczy się o pieczętę wiatru, co, rozwiewając zlekka jedwabiste pukle dookoła młodej, świeżej twarzyczki, dodaje jej tylko naturalnego wdzięku i uroku.

Kostjum turystyczny składa się zwykle ze spodni, dyskretnie bufiastych, ujętych w gładki, dosyć szeroki pas pod kolanem, z bluzki białej o swobodnym i niezbyt otwartym kołnierzyku, zakończonym barwnym krawatem, rękaw długi, mankiet zapinany spinką lub złączonymi guziczkami z perłowej masy, na to zarzucona luźna kamizelka, rodzaj żakietu, ściągnięta paskiem zamśzowym lub skórzanym lakierowanym.

Kostjum taki w dyskretną kratę lub z lekkiego angielskiego przerabianego materiału, uzupełniony miękkim filcowym kapeluszem, jest nad wyraz elegancki i praktyczny; dobrze będzie, myśląc o jego szerszym zastosowaniu, kazać zrobić równocześnie spódniczkę z tego samego materiału, a wówczas, ponosząc niewielki koszt dodatkowy,





chę wybitnej elegancji, jednoczą w sobie wdzięk specjalny z rzadką praktycznością, gdyż nawet przez kobiety, które każda pora dnia wita w innym a przystosowanym do niej stroju, mogą być noszone, począwszy od rannego spaceru aż do chwili zapalenia świateł, co obowiązuje już zazwyczaj do wyszukańszego stroju.

Narówni ze sweatrem i jumperem zawładnęła nami i plisowana spódniczka, tak estetyczna, wygodna i miła w noszeniu.

Nie krępując zbytnio, daje ona w epoce, kiedy przepisowy obwód spódnicy od kostjumu jest śmiesznie mały, większą swobodę ruchów, przy zachowaniu wymaganego wrażenia optycznego.

Strój, przeznaczony do konnej jazdy, nie przypomina dzisiaj w niczym dawnych zwisających trenów, którymi obciążona była amazonka, a skępowana kobieta, dosiadająca konia. Odrzucono też niebezpieczne i niehigieniczne siodło damskie, zastępując je, na równi ze strojem, siodłem kompletnie do męskiego zbliżonym. Nawet młodociane dzokiejki, które wzięły udział w ekscytrycznym Derby osłem, jakie odbyło się w Anglii w miasteczku Fittleworth, a wśród których zwycięstwo odniosła 12-letnia miss Delay Wells, oddały pierwszeń-



stwo wysokim bucikom, spodniom, marynarce i specjalnemu, tak chętnie do konnej jazdy noszonemu, krawatowi białemu, w rodzaju chusteczki, który, związany z przodu na misterny węzeł, wypełnia całkowicie wycięcie marynarki.

Wiosłarki i łyżwiarki dają bezwzględne pierwszeństwo sweatrowi, który ubiegłej zimy zapanował tak wszechwładnie, że nawet wieczorowe suknie, wychodzące z pierwszorzędných magazynów paryskich, nosiły na sobie cechę tego wpływu. Spotykało się kreację renomowanych firm, które na tło gładkiej lub drobno plisowanej sukienki jedwabnej jednokolorowej rzucały rodzaj luźnych kamizelek, bogato haftowanych i przewiązanych wąziutkim jedwabnym paseczkiem. Poza to przeszła przez naszą garderobę i utrzymuje się w sile cała gama sweatrow rannych i poobiednich. Te poobiednie różnią się od pierwszych świetniejszym kolorem, nitką, zazwyczaj jedwabną, i bogatą, haftowaną bluzką, której przód widoczny nadaje specjalnie strojny wygląd całości. Prześliczne sportowe skromne i proste sukienki, które różnią się od siebie zaledwie bagatelkami, nadającymi im właśnie ce-

stwo wysokim bucikom, spodniom, marynarce i specjalnemu, tak chętnie do konnej jazdy noszonemu, krawatowi białemu, w rodzaju chusteczki, który, związany z przodu na misterny węzeł, wypełnia całkowicie wycięcie marynarki.

Przeгляд mody ostatnich lat, jak i wczucie się w ewolucję, jakiej podlega, świadczy o jej odporności na zmianę kierunku, pomimo niejednokrotnych zamachów, chęci wprowadzenia Dyrektora, prostota i „la mode sportive“ zwyciężają.

„La garçonne“ w życiu uległa, poszła w słodkie jarzmo macierzyństwa i życia rodzinnego; Victor Margueritte, jej twórca, pomimo wybitnie postępowych zapatrywań na kwestję kobiecą, musiał ulec jej pierwotnemu instynktowi i pozwolić skończyć na tem, od czego prababki jej zaczynały.

Oby śliczna i wygodna moda, nosząca w sobie zarodek tejże „garçonnerie“, nie okazała się tak ustępliwa i nie oddała berła w ręce jakiegoś skomplikowanego i pretensjonalnego wykwitowi wiecznie głodnej nowości i płynących z niej zarobków, wyobraźni ludzkiej. W



## WYROBY LUDOWE

## GARNKI BOLIMOWSKIE.

Bardzo starożytną formą przemysłu ludowego był wyrób garnków, znany w odległych czasach przedchrześcijańskich, które wypalano nie tylko na potrzebę własną, ale i na sprzedaż. W rozkopywanych kurhanach odnajdywano zawsze gliniane naczynia i urny.

Garncarstwo miało w Polsce nawet swój wiek złoty, kiedy w połowie XVII wieku wywożono z kraju Wisłą przez Gdańsk do Danii dużą ilość garnków za poważne sumy. Jednak stopniowo przemysł ten upadał z różnych powodów ekonomicznych i doszedł prawie do zaniknięcia. W ostatnich czasach zainteresowały się przemysłem ludowym szersze koła społeczeństwa, a w szczególności zwrócono uwagę na ceramikę ludową, jako na szereg motywów twórczości ludu.

„Nie święci garnki lepią“, mówi przysłowie i słusznie, bo świętymi nie są garncarze, którzy toczą przesłiczne w swoim rodzaju dzbanki, zdobiąc je w barwne motywy.

Ceramika ludowa w Polsce zaczyna się budzić z letargu, choć niema całkowitego zrozumienia potrzeby pracy nad rozwojem garncarstwa ludowego. Dotychczas jest zaledwie kilka pracowni ceramicznych o poziomie artystycznym, które przodują techniką wykonania, rzadką w garncarstwie ludowym.

Jedną z nich jest pracownia garncarska w Bolimowie. Osada Bolimów w powiecie łowickim robiła kiedyś wrażenie jednej rodziny garncarzy, tak ten przemysł tu był rozwinięty. Dotychczas utrzymała się jedna wzorowa pracownia, licząca trzydzieści lat pracy. W okolicach Bolimowa znajduje się glina Nieborowska, jedna z najlepszych glin; surowiec ten jest podstawową częścią doskonałości wyrobów Boli-



mowskich. Pracownia w Bolimowie od r. 1910 do 1914 była pod kierownictwem Tow. Przem. Ludowego, w czasie wojny została zrujnowana, a w ostatnich latach Sekcja Przemysłowa Koła Polek weszła w bliższy kontakt z pracownią Bolimowską, bardzo usilnie dopomagając w rozwoju tej gałęzi przemysłu. Rezultaty były widoczne, zaczęto wypalać wazony o gładkiej i czystej glazurze, wyroby uderzają swoją prostotą i szlachetnością linii, a jednocześnie estetycznym wyglądem. Ciekawe są wyroby Bolimowskie, bogate w fantazje kształtu i motywu, w których wybitnie uwydatnia się pierwiastek twórczy. Wogóle w garncarstwie najbardziej uwydatnia się ludowa twórczość; jest to bardzo ważna gałąź przemysłu, z której sztuka Polska może wiele skorzystać. Pracownia w Bolimowie w każdej porze dnia wre życiem.

Twórca garnków, Konopczyński z synem, toczą je, suszą i polewają, żona garncarza z córką ozdabiają, malując farbami kolorowe motywy.

Pozostawiona zupełna swoboda inicjatywy pobudza zmysł artystyczny rodziny. Po ukoń-

czeniu roboty twórczej ludzi, rozpoczyna robotę ogień; rozpalają piec garncarski, wstawiają tam wyroby i czekają na rezultat. Często cała praca, bardzo mozolna, okaże się na nic, bo dym zakopci wyroby, i zamiast czystej i gładkiej pobiałki wyjdzie poplamiona. Wyroby Bolimowskie budzą duże zainteresowanie, tylko brak kapitału obrotowego i rynków zbytu uniemoż-

liwiają rozwój przemysłu na szerszą skalę; zarobki były tak małe, iż dziwić się należy, jak pracownia w Bolimowie zupełnie nie upadła. Konkurencja z wielkim przemysłem, który garnki i wazony poczęści zastąpił w użytku domowym w mieście i na wsi takimiż wyrobami fabrycznymi, tamuje rozwój, a szkoda! bo szablon zastępuje sztukę, a maszyna i technika twórczość; praktyczna strona życia przemawia do nas silniej, niż artystyczna. To wszystko nie może dodatnio wpłynąć na rozwój tej ważnej gałęzi przemysłu ludowego, jako źródła bogactwa kraju, a jednak przy zrozumieniu i współpracy społeczeństwa i umiejętnej organizacji przemysł ten dźwignąć i rozwinąć można. Znaczenie dla kraju tej gałęzi przemysłu jest ogromne ze względu gospodarczego, gdyż garncarstwo zając może wiele rąk i dać setkom ludzi zarobek, a jednocześnie stać się źródłem pomysowości ludowej. Do rozwinięcia garncarstwa w prawidłowym kierunku i chronienia od szkodliwych wpływów na jego stronę zdobniczą potrzeba instruktorów, którzy by budzili twórczość artystyczną ludu, potrzeba tworzyć szkoły garncarsko-instruktorskie, aby pouczyć lud, że wyroby jego są niezwykle piękne i budzą zachwyt nie tylko u nas, ale i u obcych, aby zwycięzić miłość dla sztuki ludowej. A. Zaleska.



# H I G J E N A D Z I E C K A

(Ciąg dalszy)

**Ubranie.** Ubranie powinno być ciepłe i nie krępować ruchów rąk i nóg. Ubierać trzeba dziecko szybko, dlatego też koszulkę z kaftanikiem, oczywiście wiązane na plecach, kładzie się równocześnie, przeciągnawszy poprzednio rękawki koszulki przez rękawki kaftanika; otrzymany w ten sposób jeden rękawek (koszulka stanowi niejako podszewkę kaftanika), ściąga się tak ku ramieniu, żeby przy ubieraniu móc odrazu rączkę wsunąć w rękaw, a nie naciągać na nią rękawka. Dla szybszego wiązania ubrania, wiążemy (naturalnie przed włożeniem) tasiemczki kaftanika z tasiemczkami koszulki, mamy wtedy tylko jedną parę tasiemek do wiązania na dziecku.

Dziecko zawija się w 2 pieluszki — naprzód już odpowiednio ułożone: na barchanowej leży cienka, złożona w trójkąt; róg dolny tego trójkąta kładzie się między nóżki, a dwa pozostałe krzyżuje się na brzuszku, co tworzy rodzaj majteczek; barchanową okręca się dziecko.

Rączek nie trzeba zawijać, chyba że chodzi o ogrzanie np. po kąpieli, nie potrzeba również nakrywać główki, chyba w pierwszych dniach po urodzeniu i po myciu. Brzeg górny pieluszek powinien być nieco poniżej łopatek. Jeżeli dziecko chowa się w długiej poduszce (beciku), to powinna być w nim ceratka, przykryta grubym, dobrze wsiąkającym podkładem. Zarówno bielizna, jak poduszki, powinny być miękkie, nie sztywne, aby nie uwierały i nie obrażały delikatnej skóry niemowlęcia. Tak spowite dziecko kładzie się do łóżeczka. Nie przyzwyczajajmy go do kołysania lub wozenia, najzdrowiej, a dla otoczenia najwygodniej, gdy leży i usypia bez żadnej pomocy. W żadnym razie dziecko nie powinno spać w jednym łóżku z matką ze względu na niebezpieczeństwo uduszenia maleństwa w czasie snu. Takie wypadki zdarzają się nieraz. Poza tem niemowlę łatwo się przyzwyczaja do ciepła matczynego i przyzwyczajenie go potem do spania oddzielnie sprawiać będzie trudności. W razie

chłodu w mieszkaniu można położyć w nóżkach i obok dziecka butelki z dobrze ciepłą wodą — naturalnie butelki należy owinać.

**Odżywianie.** Noworodek nie powinien nic jeść przez 24 godziny. Przeważnie przesypia cały ten czas smacznie, budząc się przy oddawaniu smółki, ale, umyty, śpi dalej. Dawanie czegokolwiek do picia: czy to wody słodzonej, czy mleka krowiego, czy nawet piersi mamki powinno być wykluczone.

**Pielęgnowanie niemowlęcia** w pierwszych dniach po urodzeniu. Dziecko należy utrzymywać niezmiernie czysto i kąpać codziennie dopiero jednak od chwili odpadnięcia pępowiny i wygojenia pępuszka. Do tego czasu myjemy je tylko starannie i obmywamy, ile razy się zanieczyści przy wypróżnieniu. Kąpiel 35° Celjusza (28° Réaumur) powinna trwać krótko; dziecko trzeba potem starannie wysuszać, nie wycierać, gdyż naskórek jego jest bardzo delikatny; specjalną uwagę należy zwrócić na osuszenie wszelkich fałdek skóry, które potem należy zapudrować talkiem. Przy kąpieli należy również myć główkę, ażeby nie dopuścić do tworzenia się skorupy z „ciemieniuszek“ na czaszce głowy. Smarowanie główki wazeliną dla łatwiejszego niby oczyszczenia z ciemieniuszek nie jest wskazane; wazelina zatłuszcza skórę i włosy, wskutek czego pył łatwiej do nich przylega i zanieczyszcza główkę jeszcze bardziej.

**Opatrywanie pępuszka.** Codziennie po umyciu dziecka trzeba opatrzyć pępuszek w sposób podobny, jak za pierwszym razem, zaraz po urodzeniu (gaza musi być sterylizowana!) Robimy to aż do chwili, gdy sznurek pępkowy, który stopniowo wysycha, odpadnie. Zwykle odpada już 5-go dnia. Zdarza się, że po odpadnięciu pępowiny zaczyna się sączyć materja, trzeba wtedy bardzo starannie obmywać bliznę pępkową roztworem sublimatu 4 na 1000, jeżeli czuć ją trochę, zasypywać proszkiem aristo!. O ile sączenie przedłuża się,

trzeba rozciągnąć brzegi blizny palcami w ten sposób, ażeby wyłonił się spód blizny (w kształcie guziczka) i zajodynować go.

**Pierścień pępkowy,** okrążający bliznę, nie zawsze w zupełności jest sformowany przy urodzeniu, to też nieraz przy krzyku lub kaszlu pępek się rozciąga, rozprostowuje i podnosi w postaci wzgóreczka; o ile to jest w niewysokim stopniu, wystarczy obandażowanie brzuszka. W razie silnego uwypuklenia pępuszka, zalepia się go lepkiem plastrem. Jedna osoba silnie wciska ów wzgóreczek i naciąga na niego z obu stron fałdki skóry tak, aby go zakryć zupełnie, druga zaś zalepia szerokim paskiem lepkiego plastra, naciągając go mocno. Oczywiście, lekarz winien zdecydować, czy zabieg ten jest konieczny i poczytywać, jak go należy wykonać.

**Wyprowadzenie dziecka na dwór.** Świeże powietrze jest bardzo ważnym czynnikiem w rozwoju dziecka, to też w 10-15 dni po urodzeniu wlecie, a w 3 tygodnie w zimie można je wyprowadzić na dwór naturalnie, o ile jest zdrowe. W zimie trzeba czekać dnia suchego, słonecznego, bez mrozu i wiatru, wreszcie wybrać chwilę najcieplejszą w dniu t. j. od 12—2-ej. Naturalnie z tem pierwszym wyprowadzeniem dziecka na dwór trzeba być bardzo ostrożnym i początkowo liczyć się z pogodą; noworodek może spędzić tygodnie całe w mieszkaniu — od tego nie zachoruje. Pokój, gdzie przebywa, oczywiście, powinien być dobrze przewietrzany. Jeszcze jedna uwaga: o ile dziecko wyprowadzamy w wózku, co jest lepsze od noszenia dzieci na ręce, bo swobodniej wypoczywa, trzeba uważać, aby mu nie było zimno. Na ręce grzeje go ciepło osoby, która go nosi. Niezależnie od ciepłego ubrania, dobrze jest włożyć do poduszki butelkę z gorącą wodą.

W lecie należy uważać, aby promienie słoneczne nie padały na główkę i wprost w oczy. Najodpowiedniejsza pora do wyjścia w lecie od 9—11 rano i od 3—5 południu.

A. K.



## PIELEGNOWANIE AGRESTÓW I PORZECZEK

W wielu ogrodach porzeczki i agresty rażą zaniedbaniem, a przecież są to krzewy szczególnie wdzięczne za troskliwą opiekę. Zwłaszcza po zbiorze owoców jesteśmy skłonni pozostawiać krzaki własnemu losowi, zamiast troszczyć się o to, żeby im dopomóc do wykształcenia licznych i silnych pączków na rok następny.

Jeżeli krzewy nie zostały przeredzone na wiosnę, to po zbiorze owoców można usunąć kilka najstarszych odnóg, żeby soki skierować obficie do pozostałych.

Następnie trzeba rośliny zasilić nawozami potasowymi (sole potasowe) i fosforowymi (superfosfat), ziemię pod krzakami przekopać i pozostawić w ostrej skibie nie grabioną). Zasiłek ten można uzupełnić dawką gnojówki lub rozcieńczonego wodą nawozu kłocznego. W porze dżdżystej i na ziemię wilgotną nawozy płynne daje się w postaci bardziej stężonej, a w porze suchej trzeba je silniej rozcieńczać, mniej więcej w stosunku 1 części na 3 do 4 części wody.

Przedwczesne opadanie liści, występujące często pod wpływem grzybków pasorzytnicznych, powstrzymuje przemianę materji i znacz-

nie osłabia roślinę. Zarodniki choroby, a nawet samą chorobę w pierwszym okresie jej rozwoju można zwalczać za pomocą zraszania liści 1% cieczą bordoską. Najskuteczniej zapobiega ona chorobie, gdy zastosować pierwsze zraszanie wczesną wiosną, gdy się pączki liściowe rozchylają, a drugie zaraz po okwitnieniu krzaków, żeby deszcze i rosa zdążyły splókać

siarczan miedzi z zawiązków owocowych.

W ziemiach ubogich w wapno, dodanie tego składnika jest wskazane, ale nie wolno zapominać, że wapno samo nie przysparza roślinie pokarmu, a jedynie przyspiesza rozkład zapasów, zawartych w ziemi. Więc żeby gleby nie zubożać, trzeba grunty wapnowane obficie zasilać. Jeśli wapnujemy na wiosnę, to nawożenie stosujemy w jesieni lub naodwrot; natomiast nigdy nie należy dawać równocześnie wapna i mierzwy albo wapna i nawozów pomocniczych, gdyż powstają trudno rozpuszczalne albo nierozpuszczalne związki chemiczne.

W jesieni pożądane jest pokrycie ziemi pod krakami nawozem. Woda wyluguje zeń składniki odżywcze i doprowadzi je do korzeni.

W okresie spoczynku porzeczki i agresty trzeba corocznie przeredzać, wycinając najstarsze pędy u nasady, żeby powietrze i światło miały swobodny dostęp do wnętrza krzaka.

Przy takim postępowaniu grona będą pełne, a jagody wykształcą się dorodne i soczyste. Agresty zaś, nawet w okolicach, nawiedzonych zarazą, staną się odporniejsze na chorobę.

Stan. Schönfeld.



## „PRZYPADEK MATKĄ WYNAŁAZKU“

Pierwsze wzmianki o mydle bardzo dawnych sięgają czasów. Z historycznych notatek, z kronikarskich wzmianek wynika, że mydło znane już było Rzymianom, Grekom, i Gallom na jakieś 600 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

W Pompei, zasypanej w 79 r. po N. Chr., wraz z wieloma wykopaliskami, odkryto także fabrykę mydła, co jest niezbitym dowodem, że wtedy przemysł ten był już znany. Nie był tak udoskonalony, jak jest obecnie, i mydła używano głównie, jako środka leczniczego. Z późniejszych notatek dowiadujemy się, że mydlarstwo rozwinęło się bardzo w Germanji, skąd przeszło do Francji, a w XV wieku spotykamy się z niem w Polsce. Na wyrób mydła wówczas były wydawane monopole dziedziczne, tak jak trony panują-

cych. Jaką było ono rzadkością, dowodzi wzmianka kronikarska, że król Polski, Zygmunt, przywiózł królowej z zagranicy kawałek mydła pachnącego w prezencie. Znane przysłowie: „Wyszedł, jak Zabłocki na mydle“ świadczy, że wzbudzało ono zainteresowanie ogólne. Przysłowie to powstało podobno z następującego wydarzenia:

W dawnej Polsce gardzono handlem i przemysłem; zajmował się nimi tylko stan mieszczański. Szlachta polska, ceniąca swój stan rycerski, uważała, że tego rodzaju zajęcie przyniosłoby jej ujmę, gardziła niem.

Sposób robienia mydła został wynaleziony przypadkiem. Według podań kobieta jakaś z Savony w prowincji Genueskiej, jeszcze przed erą Chrystusową, piorąc w ługu,

wygotowanym z popiołu drzewnego, zostawiła go trochę w garnku. Przez nieuwagę, gotując strawę, wlała w ten nieumyty garnek oliwy i z zadziwieniem spostrzegła, że się ta skawaliła. Nie zastanawiając się nad przyczyną tego zjawiska, rzuciła w kąt tę bryłę, umyła garnek i ugotowała jedzenie na świeżej oliwie. W jakiś czas, biorąc do prania ścierki, na które padła bryła skawalonej oliwy, zdumiała się, widząc, że jedna z nich przy potarciu pieni się i prędko wypiera. Przypomniała sobie wyrzucną wówczas masę, poszukała jej i, natarłszy nią resztę ścierek, przekonała się, co było powodem jej zdumienia. Za powrotem męża opowiedziała mu o tej dziwnej przygodzie. Zrobili powtórnie próbę, gotując oliwę z ługiem, i znowu otrzymali bryłę twardą, któ-

ra w przyszłości miała być nazwana—mydłem. Dziś, gdy użytek jego jest tak rozpowszechniony, że ilość wyrabianego i używanego w kraju mydła stanowi o jego kulturze — przemysł ten daje bogactwo i utrzymanie dużym i małym fabrykom. W domu obecnie robić mydła nie warto, bo każde większe gospodarstwo woli łój sprzedać i bez ambarasu kupić dobrego mydła.

Dwa są gatunki mydła: rzadkie i twarde czyli szere i białe. Mydło twarde dzieli się jeszcze na kilka innych gatunków: białe ziarniste—najlepsze, żółte — nieco gorsze i miękniejsze i barskie—bardzo pieńjące, używane do prania kolorowych tkanin, albowiem nie posiada w sobie gryzących pierwiastków i nie niszczy barw. Następnie idzie cała masa mydeł, zwanych toaletowymi, lepszego lub gorszego wyrobu.

Wojna ostatnia nauczyła nas, że wszystko umieć potrzeba, bo za okupacji niemieckiej albo wcale nie mieliśmy mydła, albo w okropnym gatunku wyrabiane ze wstrętnych, rozkładających się tłuszczów, które sprowadzały ciężkie choroby skóry. Każdy więc próbował fabrykacji mydła, ale mało komu udawała się ona. Dla obeznania się z nią i dla ekonomji domowej, która uczy, że nic w gospodarstwie zmarnować się nie powinno, podaję tu zasadniczy sposób robienia mydła, który następnie udoskonalić można.

W kuchni trzeba mieć dwie faseczki dębowe, jakie się używa do solenia masła, z mocnymi żelaznymi obręczami. W jedną rzucać odpadki wszelkich tłuszczów, jakie od gotowania pozostaną, w drugiej mieć zawsze gotowy mocny ług z drzewnego popiołu i nalewać nim tłuszcz w tamtej faseczce, za

każdym razem mieszając długą drewnianą kopystką.

Jak faseczka się napełni, tłuszcz pod działaniem alkali, zawartych w ługu, zamieni się w białe, zwyczajne mydło, zdadne do użytku w kuchni.

Do faseczki z ługiem trzeba od czasu do czasu dosypywać popiołu i dolewać miękkiej wody, a chcąc, aby mydło było silnie gryzące, przy dosypywaniu popiołu dodawać trochę niegaszonego wapna. Chcąc by mydło było twarde, musimy dodać soli kuchennej 400 gr. na 2 garnce mydła i zagotować w kotle. Gdy wystygnie, zdjąć kożuch na dnie i znów zagotować na powolnym ogniu. Zlać w drewniane pudełko lub do formy. Po wystygnięciu pokrajać w kawałki i wysuszyć na słońcu. Chcąc mieć bardzo dobre mydło, w czasie gotowania dodać trochę terpentyny. J. S.

## SZANOWANIE SWEGO I CUDZEGO CZASU

Olbrzymie zaciekawienie między czytelnikami „Bluszczu” wzbudził artykuł pani A. G. o Tayloryzmie w zastosowaniu do gospodarstwa domowego. Zapytania telefoniczne sypały się bez przerwy do redakcji, — ba! do mnie nawet dzwoniły liczne czytelniczki, posiadające mój zakonspirowany starannie telefon. Pierwszą moją myślą było też posiąść tę ciekawą książkę i przetłómaczyć ją na język polski, tymczasem po rozmowie z szanowną autorką artykułu dowiedziałam się, że jest ona już spolszczona, że na wydanie jej czekają tylko autoryzacji która zapewne niebawem nadejdzie, i że czytelniczki, ciekawe tego dzieła z nieznanego języka angielskiego, mogą książkę tę sobie sprowadzić w języku francuskim wprost z Paryża, gdyż dwadzieścia egzemplarzy, sprowadzonych przez „Zjednoczone Ziemiaki”, zostały momentalnie rozchwyte tak, że nawet egzemplarz tłumaczki zaginął w tym wirze, — że w jesieni rozpocznie się praca nad oceną tego dzieła i przystosowaniem jego do naszych warunków, — przyczem zainteresowanie czytelniczek „Bluszczu” będzie specjalnie uwzględnione, i będą one starannie informowane o przebiegu tych prac. Te panie, które chcą poznać książkę, natychmiast niech pocztówką zapytają Paryż (byłe jaką znaną im księgarską firmę) o jej cenę i wyszlą obstalunek

z żadaną sumą wprost tam, a za dni najdalej dziesięć otrzymają książkę. Niech je tylko Bóg strzeże od wypisywania książek za pośrednictwem warszawskich księgarń. Mam prawo to twierdzić, gdyż w końcu grudnia za pośrednictwem jednej z poważnych firm wypisałam sobie „École des cuisinières” Urbain Dubris a w końcu maja zamiast niej otrzymałam jakieś nieznanne mi dzieło Flammariona. Biedny, niewinny posłaniec usłyszał odmienne, co o tem myślę, — a księgarnia chyba na tem nie poniesie straty, gdyż Flammarion właśnie umarł, — a nic tak nie idzie, jak utwory świeżych nieboszczyków. Zanim więc będziemy mogły skorzystać z poważnej pracy, uczącej

nas oszczędnie a produktywnie używać czasu, zaczęłam sobie notować szeregi wypadków w domu i poza domem, gdzie z cudzej, a często i własnej winy ten czas rozpaczliwie nieprodukcyjnie tracimy.

Robię jakąś kopję, którą mam przesłać na Łotwę, przynosząc ją do zaświadczenia do rejenta.

Jest godzina druga, ale każą mi przyjść jutro rano, zaznaczam, że konsulat łotewski funkcjonuje tylko do dwunastej, obiecują mi, że papier będzie gotów na dziesiątą. Znając dobrze zwyczaje warszawskie przychodzę o jedenastej, — jedna panna szuka kwadrans papieru, który gdzieś się zawieruszył, — oczywiście niezadowolony, — druga szuka książki, księga właśnie zajęta wpisywaniem innego czegoś, — nakoniec wszystko skończone, otrzymuję moją kopję, jest punkt dwunasta; skarżę się rejentowi na stracony ranek, a on mi odpowiada: „Ależ, proszę Pani, my nie przywykliśmy do tego, aby klienci, a szczególnie klientki, przychodzili wczas, (ładnie wczas, godzinę się spóźniłam), żeby Pani przyszła około trzeciej, dokument by był gotów.” Oddaję szewcowi buciki do podzelowania, jedyne moje grubsze buciki, a deszcze wciąż padają; proszę o pośpiech. Mam je mieć na trzecią popołudniu dnia następnego, — idę po nie, nie zaczęte jeszcze, będą wieczorem. Następnego dnia wstępuje po nie



moja córka, są zaczęte, będą wieczorem. Na trzeci dzień zachodzę znów sama; ani jeden ćwieczek od dwudziestu czterech godzin nie przybył, szewczawstydzony obiecuje mi je tegoż samego dnia odesłać do domu. Po trzech dniach chłopiec mi je odnosi, pełne niewybitych czy nieopiłowanych ostrych sztyftów; na szczęście przed wręczeniem zapłaty sprawdzam to ręką i odsyłam skonfundowanego chłopca. Jeszcze jedna wędrówka do szewca i po dziesięciu dniach mam podzielowane buciki (pantofle moje przez ten czas zupełnie na błocie rozmokły). Żyję z własnej pracy, jestem bardzo towarzyska, więc mam masę znajomych, mam masę krewnych; chcąc widywać tych wszystkich miłych i kochanych ludzi i mieć przytem nieco czasu na pracę, mam dni i godziny wyznaczone, kiedy ich z radością, jak mogę i czem mogę, najserdeczniej przyjmuję. Ale stają się tutaj nieprzewidziane rzeczy: w dzień przyjęć jest kilka osób zaledwie, ale we wszystkie inne dni tygodnia odsiadują u mnie najbliżsi, którzy chcieli ze mną porozmawiać serdecznie i — bez innych gości. Jeżeli przyjmuję wieczorem, mam kilka osób popołudniu, bo nie lubią bez specjalnego zaproszenia przychodzić wieczorem, jeżeli przyjmuję popołudniu — przychodzą wieczorem, bo „kochana Pani i tak zapewne nigdzie nie wyjdzie, gdyż goście przecież o ósmej się nigdy nie rozejdą”, itd. itd.

Lokaja, oczywiście, nie posiadam, żadna Kasia i Marysia nigdy nie potrafi wykszusić, że pani nie ma, skoro pani siedzi obok i pisze, — nie pozwala jej na to prawdomówność i religijność!!! Zresztą mieszkanie na czwartym piętrze, a winda nieczynna, więc sama nie miałabym sumienia odprawić ode drzwi osoby, która mnie odwiedzi z całą serdecznością, nie zdając sobie sprawy, że, aby przetłumaczyć lub napisać ilość wierszy, niezbędnych dla mojej egzystencji, muszę to robić w nocy lub zrywać się przed świtem. Jestem jedną z tych szczęśliwych, co po reemigracji zdążyli zdobyć dach nad głową, mają własne mieszkanie, własną kuchnię; rada więc jestem zawsze podzielić się moim skromnym obiadem z krewnymi lub przyjaciółkami, jadającymi „kontygenrowe” obiady, — już taka jestem „Kresowa”, że mi kotlet lub zraz dopiero wtedy smakuje, kiedy go jem w towarzystwie. Zawsze jednak zapowiadam, że po obiedzie mam pół godziny czasu na rozmowę; poczem muszę wyjść na miasto. I to na dziesięć razy dziewięć mój gość późni się godzinę, gdyż coś

ważnego go zatrzymało, — a ja tracę popołudnie całe, gdyż godzina, o której miałam załatwić interes lub spotkać kogoś potrzebnego, minęła; o tem, że obiad jest przestały i niesmaczny, co zawsze jest dla gospodyni niemiłe i że kucharka albo klnie i pomstuje, albo przywyka być niepunktualną, już nie mówię. Tyle przykładów mi się ciśnie do głowy, że ich w ramach jednej pogawędki umieścić nie sposóbito tylko, kiedy chodzi z winy innych.

A nasze własne winy, — mój Bóże, jest ich tyle! tylko ich wcale nie widzimy. Mamy dzisiaj przeważnie po jednej służącej. Aby mieć czas porządnie sprzątnąć mieszkanie i ugotować obiad, powinna ona wszystkie produkty przynieść wcześnie rano. Otóż czy wiele gospodyń ma zwyczaj zadysponowania obiadu wigilją wieczorem, obliczenia wszystkiego, co dziś potrzeba, i wydania dyspozycji co do kupna służącej, przyczem najlepiej wszystko wypisać na kartce, nie licząc na pamięć naszej wyręczycielki. Zawsze zrana się okazuje, że czegoś brak, i dobrze, jeśli zrana; najczęściej przed samym obiadem okazują się najpoważniejsze braki, i zaczyna się latanie zgóry i nadół po schodach, bierze się byle jaki towar w najbliższym sklepiku, — sklepikarz, jeśli nie żąda trzy razy drożej, to niedoważny lub niedomoderzy. A na blasze rosół wykipi, a pieczeń się przypali.

Od najwcześniejszych lat dzieciństwa wiemy, że jest latem gorąco i zimą zimno, i że do tych zmian klimatycznych musimy dostosować swoje ubranie; tymczasem co roku powtarza się ta sama historia, że szwaczki i modystki zostają zawalone pracą dopiero z chwilą nastania upałów lub mrozów. A wtedy wędrówki bez końca, bo ani mowy niema o tem, żeby coś na czas było przygotowane do miary lub wykończone, czas się traci, nerwy się szarpie, no i przepłaca zał wszystko, bo to sam sezon. Wiemy doskonale, że przed wielkimi świętami dorocznymi: Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, Zielonych Świątek i t. p. wszystkie artykuły spożywcze drożeją, że obsługa w sklepach w te dni jest fatalna, że traci się całe godziny na stanie w ogonku lub czekaniu na zmiłowanie pana subiekta, zziąjanego nadmierną pracą i, jeśli to wogóle jest możliwe, jeszcze mniej, niż zwykle, uprzejmego. A czy wiele z nas myśli o tem wczas, aby uniknąć tych wszystkich przykrości, aby zaoszczędzić czasu i pieniędzy i zaopatrzyć się we wszystko zawczasu.

Jeszcze jednego dobrego zwyczaju, przyjętego przez francuzki i niemki już oddawna, nie możemy sobie przyswoić. Pani domu powinna zakupy kuchenne robić sama; o ile dom jest duży i wszystkie sama przynieść nie może, służąca winna iść za nią z koszem; wszędzie zagranicą na targach są chłopcy z koszami, którzy za parę groszy odnoszą zakupy do domu, lecz „u nas inaczej”. Służąca nie umie czy nie może nam dogodzić, odsyłamy po dziesięć razy nieodpowiedni artykuł, rzeźnik lub kupiec się gniewa, pani się denerwuje, służąca biega tam i napowrót i traci czas bezużytecznie. I znowu mi się ciśnie do głowy tyle sposobów nieprodukcyjnej straty czasu w gospodarstwie już z naszej własnej winy, że muszę się wstrzymać z ich wyliczaniem, aby nie nadużywać cierpliwości czytelniczek. A żeby jednak tak popróbować, przed stosowaniem metod amerykańskich, których jeszcze nie znamy, zmniejszyć nasze rodzinne systemy marnowania czasu, czyby to nie było dobrem przygotowaniem do przyjęcia bardziej udoskonalonego systemu? Jeszcze raz pozwolę sobie wkrótce wrócić do tego tematu i pomówić o czasie, potrzebnym na ugotowanie posiłków, na przyrządzanie poszczególnych potraw i o możliwym, a racjonalnym skracaniu czasu, na te prace używanego obecnie.

Pani Elżbieta

## Przepisy gospodarskie



### SOKI OWOCOWE (SYROPY.)

Sok ananasowy. Na syrop należy używać owoce, niezdatne do podawania w całości, niewyrośnięte lub też uszkodzone w czasie przewozu. Ananas wraz z łupinką pokrajać na cienkie plastry, utrzeć w makotrze na masę, złożyć do słoja i trzymać tak dwadzieścia cztery godziny. Sok z ananasa wycisnąć przez worek flanelowy, gąszcz pozostały zalać wodą, aby objęło, zagotować i ponownie wycisnąć. Sok ten odmierzyć, na każdy litr soku dać trzy kilo cukru, wycisnąć sok z trzech cytryn lub też dodać trzy kawiane łyżeczki soli cytrynowej (kwasku). Zagotować raz na mocnym ogniu, szumować staran-

nie, gotować jeszcze dziesięć minut na wolnym ogniu. Dodać na każdy litr syropu pastylkę „Benzoesu“, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, zastudzić i zlać do małych buteleczek. Kto nie rozporządza dużą ilością ananasów, jak, naprzykład, mogą rozporządzać panie ze wsi, posiadające ananasarnię lub mogące z pierwszych rąk nabyć ananasy, uszkodzone w drodze, lepiej woli smażyć odrazu konfitury ananasowe i syrop. Ananas w tym celu należy obrać z łupin, łupiny te zalać zimną wodą, zagotować, potrzymać w wodzie aż wystygnie, poczem mocno wycisnąć przez worek flanelowy. Ananas pokrajać na cienkie plastry, każdy plaster jeszcze na sześć lub osiem części. Na kilo ananasu bierze się trzy i pół kilo cukru. Na kilo cukru dwie szklanki wody, w co należy już wliczyć i smak, wygotowany z łupinek. Syrop się zagotowuje, na wrzający wrzuca ananas, zagotowuje raz na silnym ogniu, potem smaży dalej, starannie szumując, na wolnym ogniu, aż kawałki ananasu staną się, przezroczyste. Na każde kilo takiej konserwy dodać jedną pastylkę „Benzoesu“, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody; konfitury zastudzić, poczem kawałki ananasu układać łyżką w słoiki, biorąc tylko tyle syropu, ile trzeba, aby konfitury były pokryte. Resztę syropu pozlewać w buteleczki. Kto chce mieć syrop i konfitury kwaśniejsze, może przy smażeniu syropu dodać na każde kilo cukru sok z jednej cytryny lub kawianą łyżeczkę kwasu.

Syrop różany. Dzisiaj mało używany, dawniej stanowił jeden z najwykwintniejszych przysmaków apteczek domowych, przepisywano mu własności lecznicze przy chrypcie i innych dolegliwościach gardlanym. Przepis tego syropu biorę ze starych przepisów mojej babki. Pięć funtów czystych listków różanych z róży centyfolji lub róży cukrowej włożyć w worek, na to wlać kociołek (garnek) wrzątku, który natychmiast powinien spłynąć, nie wyciskując przytem róży, którą natychmiast należy wyłożyć na półmisek, skropić obficie cytryną lub sokiem, wyciśniętym z białych porzeczek. Różę przytem przecierać drewnianą łyżką jaknajmocniej, aż sok z siebie puści, przelewając czterema szklankami różanej wody. Wycisnąć sok uformowany przez muślin, wyłożyć ponownie na półmisek, skropić ponownie cytryną lub sokiem porzeczkowym i czterema szklankami wody różanej. Wycisnąć jaknajmocniej, aby róża pozostała sucha, jak wiórki drzewne. Z tej ilości powinno być dwanaś-

cie szklanek czystego soku różanego. Na tę ilość bierze się dwadzieścia szklanek cukru tłuczonego (dziesięć funtów), zalewa soki i smaży pół godziny od zagotowania. Należy smażyć na bardzo wolnym ogniu, aby zapach się nie ulotnił. Gdyby zapach nie był dosyć silny, dodaje się do gotowego syropu trzy krople olejku różanego, a dla koloru kilka kropel kokcymeli. To jest oryginalny przepis babciny; proporcje są tu na dzisiejsze czasy może nieco duże, można je jednak odpowiednio zmniejszyć.

*Pani Elżbета.*

## DOBRE RADY

W porze, kiedy się przyrządza soki, dobrze wiedzieć jak, przyrządzić lak do butelek. Stopić razem 16 części żywicy, 4 części wosku, 1 część łożu. Masę tę zabarwić małą ilości żółtej lub czarnej ochry. Gdy masa nieco ostygnie, zanurzać w niej szyjki zakorkowanych butelek.

\* \* \*

Wszystkie tłuste plamy z książek, rycin i papieru usuwa się za pomocą kredy weneckiej, którą, uskrobawszy, posypać na splamione miejsce, przykryć kawałkiem papieru i przycisnąć ciężarem na kilka godzin, a plama zniknie.

## Korespondencje działu praktycznego

*Malwina F.*

Wyjeżdżam z Warszawy 8 sierpnia — do tego tylko czasu będę odpowiadać na zapytania. Powrócę 2 września.

*Lili D.*

Na zjędrnienie piersi pomoże jedynie odpowiedni masaż, robiony przez specjalistę. Może się Pani sama nauczyć tego masażu, co ułatwi sprawę.

*Dla p. Aurelii w Łodzi.*

Ma Pani zupełną rację, że dopływ powietrza i promieni słonecznych jest dla włosów konieczny. Na pasma jaśniejsze zastosować należy jedynie pofarbowanie farbą roślinną.

*W. D. — Lublin.*

Pani dr. Mozołowska odpowiedzi w „Bluszczu“ nie udziela.

*Z. K.*

Krem mogę pani wysłać po przesłaniu 10 zł. i jednocześnie krem na wybielenie rąk 5 zł. oraz na kosztą przesyłki.

Włosy można jedynie ufarbować. Co się tyczy porady na wypadanie włosów, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, czy włosy są tłuste, czy suche.

Na suche:

Tra Jaborandi

„ Rosmarmi

„ Chinae comp. on 10,0

Ol. ricini on 20,0

Wycierać 10 dni z przerwą 10 dniową, trzykrotnie umyć.

Na tłuste:

Resorcini

Sulfidol on 10,0

Spir. camph. 20,0

Spir. vini rectific. 80,0

Nacierać 2 tyg. codzień na noc z przerwą 2 tyg.

Nie mamy środków, zapobiegających porostowi włosów.

Wyjątkowo udzielam Sz. Pani recepty ze względu na to, że Pani była moją pacjentką, i mam wszelkie dane, odnotowane w ogólnym stanie zdrowia Sz. Pani.

*Adolfina P.*

Miło mi móc tą drogą chociażby przesłać jej tych parę wskazówek. Zmarszczki usunąć może jedynie masaż u lekarza specjalisty, który może nauczyć masażu odpowiedniego Panią — wystarczy 3—4 lekcje. Przytem będę mogła zapisać Pani krem mój, którego skutki dobrze są wypróbowane.

*Janina O. — Lipiew.*

Powody wypadania włosów są tak różnorodne, że przedewszystkiem trzeba by było poznać przyczynę, gdyż od tego zależy skuteczność rady. Nie podała Pani żadnych szczegółów.

*A. K.*

Na dolegliwość Pani uważam za wskazane przyjmowanie ekstraktu z jainików: Owarogen Klawego lub Spissa, 3 tabletki dziennie; wyżyć 3 flakony. Jeśli Pani chodzi o dzieci, należy zwrócić się do ginekologa, dobrego specjalisty, i poddać się systematycznemu leczeniu; jest to jedyny sposób.

*Qx Stokrotka.*

Gęsią skórkę na rękach usunąć można (patrz odpowiedź: Lublin G. Bank).

*Maria Z. — Ciechocinek.*

Aby zęby były białe, należy je myć kredą z miętą; nabierając na szcoteczkę dosyć proszku, wycierać zęby długo i starannie, następnie płókać wodą z dodaniem wody utlenionej, łyżkę na szklankę wody. Wszelkie używanie past do zębów uważam za przeciwwskazane, gdyż pasty zawierają sacharynę, olejki eteryczne, wytwarzające

złobne kwasy, oraz pumeks, ściera-  
jące szkliwo. Są pasty wyjątkowo  
dobre, należy zawsze bardzo  
uważać na firmę. Żółte plamy —  
odpowiedź Stanisł. Bł. Nagniotki  
(patrz Teresa K)

Kość wystająca — koniecznie na-  
leży się zwrócić do ortopedysty,  
gdyż wczas, można naprawić  
kształt nogi w zupełności.

Stefanja H. — Kraków.

Rozwinąć i poprawić biust można  
za pomocą gimnastyki i odpowied-  
niego masażu.

Wszelkie środki cudowne paten-  
towane są w najlepszym razie nie-  
skuteczne tak dalece, że krążą  
o tem anegnotki, jak piszę w mo-  
im artykule o włosach, że krem na  
powiekrzenie biustu dostał się  
mężczyźnie, a na porost brody  
i wąsów kobiecie, a żadne nie  
ucierpiało, bo na równi był bez-  
skuteczny.

Teresa K.

Bardzo często nagniotki spoty-  
kamy przy artetyzmie; leczyć pod-  
stawową chorobę.

Nagniotki wyleczyć można zu-  
pełnie, przykładając na miejsce za-  
jęte diachilum po uprzednim wy-  
moczeniu nóg w wodzie z sodą.  
Powtarzać ten zabieg należy co  
dzień, za każdym razem mocząc  
nogi, w końcu zdejmuje się bezbo-  
leśnie cały nagniot.

Krem przeciw zmarszczkom i od-  
powiedni masaż dają cudowne wy-  
niki, trzeba tylko cierpliwie je sto-  
sować. Od jesieni będę wysyłać ży-  
czącym sobie mój specjalny krem  
do twarzy pod nazwą: Mój krem  
Dr. Świtalskiej, etykieta Żmija.

Stan. Błaszcz.

Plamy na skórze, o ile nie znikły  
po tylu środkach stosowanych, jak  
Pani pisze, dadzą się usunąć jedy-  
nie i radykalnie przez złuszczenie  
skóry odpowiednią maścią, silnie  
złuszczającą. Przepisać tej maści  
nie mogę, nie znając skóry — mo-  
gę to zrobić tylko osobiście, zba-  
dawszy skórę.

Stała prenumeratorką z Sieradza.

Najodpowiedniejszą farbą na wło-  
sy jest farba roślinna Henné d'Orial  
w rozmaitych odcieniach. Dostać  
można ją wszędzie, najlepiej u Spis-  
sa. Przy flakonach jest broszurka,  
dająca wyczerpujące wskazówki  
postępowania — należy tylko być  
ostrożną w wyborze odcienia.

Lublin — J. Goł. 3-ci Maj.

Na tak zw. gęsią skórę Lichen  
pilorus, w przypadkach łagodniej-

szych stosuje się częste mycie my-  
dłem salicylowem gorącą wodą z do-  
daniem sody, jeśli to nie pomaga,  
zamiast salicylowego — mydło szare.  
W przypadkach bardziej uporczy-  
wych, zaniedbanych stosuje się  
maść na noc przez dni kilka, rano  
rano mycie. W razie rozdraż-  
nienia skóry, przerwać stosowa-  
nie maści, nacierać olejkami  
waselinowym z pudrem ryżowym  
aż do ustąpienia czerwienienia,  
następnie znowu maść i mycie — aż  
do doprowadzenia skóry do nor-  
malnego wyglądu.

Nie wolno podczas rozdrażnienia  
myć wodą, ani też kolońską, któ-  
ra posiada olejki eteryczne, szko-  
dliwe na skórę.

W każdym razie skóry, skłonne  
„do gęsiej skórki“, powinny być  
czysto myte gorącą wodą i natłuszc-  
zone bądź to kremem, w braku  
tego — ol. waselinowym, waseliną,  
lanoliną — recepta maści:

Rp. Resorc. resubl.

Ac. salicyl on 0,6

Posta Zinci sulf. 20,0.

Zewnętrznie 10 dni na noc smarow-  
wać miejsca zajęte.

Dr. Med. Świtalska.

\* \* \*

Dr. Julja Świtalska wyjeżdża  
8 sierpnia do Paryża dla zbadania  
najnowszych metod z zakresu kos-  
metyki higienicznej. Do dnia 2-go  
września odpowiedzi na zapytania  
udzielane nie będą.

## Opis sukien i robót do Nr. 31

559. Suknia strojna z koronki popiela-  
tej, przybrana fraise wypustką i kokardą  
z crêpe de chine'u.

560. Suknia z białej koronki chautilly  
na spodzie cyclamen.

561. Suknia strojna z koronki-siatki  
écru z szafirową szarfą, zakończoną szafi-  
rową różą.

562. Suknia biała z miękkiej wełny, przy-  
brana czarnym haftem ze srebrem na czar-  
nym, lśniącym jedwabiu — z tegoż jed-  
wabiu zakończenie rękawów, kołnierzyk  
i guziki.

563. Suknia z popeliny piaskowej, spód-  
niczka układana, haft — aplikacja, spód  
i przybranie koloru brązowego.

564. Suknia z woalu szafirowego, przy-  
brana haftem brązowym.

565. Kostjum z czarnego sukna, przy-  
brany guzikami rogowymi. Kapelusze ze  
świecącego czarnego jedwabiu.

566. Palto z angielskiego materiału.  
Kołnier, kłapy i mankiety z sukna ciem-  
no-zielonego.

567. Kostjum — suknia i długi żakiet  
z lekkiej wełny koloru fox-trott. Przystukni  
kołnierzyk i krawat z crêpe de chine'u  
białego.

568. Kapelusze z crêpe marocain, przy-  
brany kokardą z wstążki tegoż koloru.

569. Kapelusze z crêpe de chine'u bia-  
łego, układany w pliseczki i przybrany róż-  
yczkami i wstążką czarną.

570. Kapelusze z wstążeczek, przybrany  
dwoma szpilkami bursztynowymi.

571. Sukienka dla panienki od lat 8 do  
12 z lekkiej wełny granatowej, przybrana  
kołnierzykiem; kamizelka z płótna białego,  
pasek biały lakierowany.

572. Paltocik z flaneli w kraty dla ma-  
łego chłopczyka.

573. Sukienka dla dziewczynki z białej  
wełny w granatowe paski. Kołnierzyk,  
przód i mankiety z białej wełny, na kołnie-  
rzyku i mankietach granatowa taśma.

574. Sukienka dla dziewczynki od lat 8  
do 12 z płótna różowego, przybrana czarną  
płiską satynową, czarnymi guzyczkami i czar-  
ną mereżką.

575. Wzór na poduszkę do gabinetu  
męskiego. Aplikacja na suknie lub płótnie.

576. Wzór na szlak i serwetkę filet.  
Ten sam deseń może być zrobiony na  
kanwie.

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

P. MARJI K. Piegi najlepiej usuwa  
krem Precioza. Jest to najpewniej-  
szy ze wszystkich środków. Smarować  
twarz na noc Preciozą, wcierając w  
miejsca, pokryte piegami, a rano twarz  
zmyć dobrze ciepłą wodą z „Otrąbkami  
Abarid.“

HALINIE S. Zapobiegnie Pani nad-  
miernemu poceniu się, stosując płyn i pu-  
der Eureka, Rano i na noc dobrze na-  
trzeć miejsca pocące się płynem Eureka  
i przypudrować pudrem Eureka  
parę razy dziennie. Stosując to regularnie,  
nie tylko usunie Pani nadmierną potliwość  
na razie, ale wyleczy Pani i zapobiegnie  
poceniu się na czas dłuższy.

LŚNIĄCEJ. Dla zmatowania cery ra-  
dzą do wody do mycia dodawać 1 łyżeczkę  
płynu Abarid na litr wody, i myć  
twarz otrąbkami abaridowymi.  
Wśród dnia kilka razy dziennie nacierać  
twarz kawałeczkiem waty, zmoczonej w  
Baume aux fraises, który, zmywając  
tłuszcz, ma własność odświeżania i mato-  
wania cery. M-me Ercedès.



# KOMUNIKAT BIURA PRASOWEGO DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

1 SIERPNIĄ 1925 r.

## Policja kobieca w Polsce

Dnia 18-go lipca ukończony został w Warszawie kurs wyszkolenia pierwszego oddziału policji kobiecej, przeznaczonej do walki z nierządem, handlem żywym towarem i t. p.

Na kurs przyjętych zostało 30 kandydatek. Jedna usunęła się z powodu choroby.

Program kursu obejmował: prawo karne, administrację, służbę śledczą, instrukcję policyjną, naukę o Polsce, żargon, służbę sanitarną i ratownictwo, ćwiczenia gimnastyczne i mustrę wojskową, nadto poszczególne wykłady: z historii handlu żywym towarem, o chorobach wenerycznych, psychopatologii prostytutki i t. p.

Z przedmiotów tych dziesięć słuchaczek otrzymało na egzaminie postępowanie „bardzo dobre”. Reszta postępowanie „dobre”.

Podczas kursu obowiązywał regulamin ściśle wojskowy, jak na wszystkich innych kursach policyjnych.

Komendantką tej pierwszej szkolnej kompanii policyjnej była panna Stanisława Paleolog, rezerwowo porucznik wojsk polskich, adiutantka Dowództwa Ochotniczej Legji Kobiet, ozdobiona Krzyżem Walecznych i odznaką „Orląt” za zasługi, położone w obronie Lwowa.

Dzięki jej energii i umiejętnemu kierownictwu kompania policyjna kobieca wyróżniła się wśród innych pilnością, gorliwą pracą i karnością, a w następstwie — doskonałym wynikiem egzaminów.

Po krótkim urlopie, z dniem 1 sierpnia r. b. oddział policji kobiecej, przydzielony do Urzędu Sanitarno-obyczajowego, rozpoczyna służbę.

Dodać trzeba, że już podczas trwania kursu jedna z policjantek przyczyniła się do wykrycia w Warszawie i zamknięcia dwóch domów schadzek.

## Wszechświatowa wystawa kobieca

Otrzymujemy następujący komunikat:

„W kwietniu 1925 r. ma być urządzona w Chicago Wszechświatowa wystawa Kobieca (Woman's World's Fair), do udziału w której Polska została zaproszona.

Przedmiotem wystawy ma być dorobek kobiety we wszystkich formach, dziedzinach i krajach — a więc pozytywne wyniki działalności kobiet w życiu politycznym społecznym, oświatowym, literackim, artystycznym, sportowym, przemyśle, handlu, rolnictwie, ogrodnictwie, gospodarstwie i t. d.

Byłoby rzeczą niezmiernie wagi tak dla coraz bardziej zacieśniających się stosunków Polski z Ameryką, jak i w ogóle dla ekonomicznej i kulturalnej przyszłości Polski aby dział nasz na projektowanej wystawie wypadł jaknajświetniej. W żadnym może społeczeństwie kobieta nie odegrała tak pięknej i wszechstronnej roli, jak w Polsce i dlatego niawątpliwie przy należytej organizacji i sprawności komitetu, dział eksponatów polskich może wyglądać imponująco.

W niedalekiej przyszłości wszystkie instytucje i organizacje kobiece zaproszone będą przez Wydział prasy i prop. M. S. Z. na przygotowawcze organizacyjne zebranie, które wybierze Komitet wystawy w Chicago na Polskę.

Ze względu na odległość i olbrzymie zadanie pracy czasu niema zawiele i dlatego sprawę tę podajemy do publicznej wiadomości przez prasę, aby działa, które jedynie w sezonie letnim poczynić będą mogły pewne przygotowania, jak n. p. rolnictwo, ogrodnictwo, pszczelnictwo, jedwabnictwo i t. d. mogły zawczasu poczynić zdjęcia fotograficzne, notatki, obserwacje i zebrać odpowiedni materiał statystyczny na wystawę w Chicago.

## Szkoły i kursy

— Szkoła pielęgniarek w Krakowie.

Na jesieni otwarta zostanie „Uniwersytecka szkoła pielęgniarek i higienistek” w specjalnie na ten cel, dzięki ofiarności amerykańskiej Fundacji Rockefellera, zbudowanym domu (ul. Kopernika 23). Szkoła jest własnością Uniwersytetu Jagiellońskiego i pozostaje pod zarządem Kuratorjum, złożonego z profesorów Wydziału lekarskiego. Kurs nauk tak dla pielęgniarek, jak i higienistek trwa dwa lata, warunkiem przyjęcia: co najmniej świadectwo z ukończenia 6 klas gimnazjum humanistycznego lub realnego.

Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek jest właściwie wznowieniem Szkoły pielęgniarek, pierwszej w Krakowie, a zarazem i w Polsce, założonej w r. 1911 przez stowarzyszenie P. P. Ekonomek i prowadzonej przez lat 10, w której wykształcił się cały zastęp pielęgniarek, które podczas wielkiej wojny oddały wybitne usługi szpitalom wojskowym i cywilnym. Szkoła pielęgniarek, obejmie obecnie zakres nauki daleko szerszy, zastosowany do obecnych wymagań i oparty na doświadczeniach, zdobytych i u nas i za granicą w pielęgnowaniu i przestrzeganiu zasad higieny. Rozszerzony zwłaszcza będzie program dla higienistek, który obejmie przygotowania ich do walki z gruźlicą, opieki nad matką i dzieckiem, higienę szkolną, przemysłową i t. p. Rękojmnią wysokiego poziomu nauki w Szkole jest fakt, że prowadzić ją będą profesorowie wydziału lekarskiego Uniwersytetu.

Osoby, pragnące się zapisać, zechcą się zgłaszać po bliższe informacje, piśmiennie lub ustnie, do p. Marji Epsteinówny, Kraków, ul. Studencka 1. III p. codziennie od 2 — 3 z wyjątkiem niedziel i świąt.

— Kurs bibliotekarstwa. Ze względu na to, że bibliotekarstwo jest zawodem bardzo właściwym dla kobiet, podajemy następującą informację:

W roku akademickim 1925/6 powstaje w Studium pracy Społeczno-Oświatowej przy Wydziale Pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej roczny kurs bibliotekarstwa, prowadzony przy współudziale Zw. Bibliotekarzy Polskich. Jest on przeznaczony dla osób z wykształceniem conajmniej średnim, które posiadają już wyrobienie umysłowe, zdobyte bądź w szkole wyższej, bądź drogą samokształcenia, oraz pewną praktykę. Kurs będzie przystosowany do potrzeb bibliotek powszechnych i szkolnych. Uwzględnia podstawowe przygotowanie do pracy w bibliotece jako ośrodka działalności wychowawczej i oświatowej, zagadnienia czytelnictwa, techniki pracy umysłowej i t. p. Wykłady bibliografii, bibliotekarstwa i bibliotekoznawstwa połączone będą z ćwiczeniami praktycznymi w Bibliotece Publicznej i praktyką w bibliotekach różnych typów. Zapisy w sekretarjacie Wolnej Wszechnicy Polskiej—Warszawa, Śniadeckich 8.

— Kurs szycia i kroju dla dziewcząt. Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej, łącznie z Towarzystwem Przemysłu Ludowego organizuje jesienią w Warszawie kurs szycia i kroju dla dziewcząt. Na kursie wykładane też będą przedmioty ogólnokształcące, jak rachunkowość, nauka o Polsce i t. d.

Warunki opłaty za naukę 20 zł. miesięcznie, mieszkanie 3 zł. miesięcznie, utrzymanie około 40 zł. miesięcznie. Zgłaszać się należy osobiście lub listownie do dnia 20 sierpnia r. b. w Warszawie, Tamka 1. C.Z.M.W.

## Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

### Z ZIEMI KALISKIEJ.

Turek 20-go lipca.

Staraniem Stowarzyszenia Ziemianek powiatu tureckiego z p. Izą Zaborowską na czele w d. 28 i 29-tym czerwca zostały zorganizowane jednodniowe kursy dla kobiet wiejskich w Dobrej i w Uniejowie.

Na pierwszym było około 300, na drugim 150 słuchaczek. Wykładała przyjezdna z Warszawy prelegentka p. Bogusławska.

Poruszane były tematy z zakresu pracy społecznej, higieny, gospo-

darstwa domowego, racjonalnego odżywiania, ogrodnictwa i hodowli.

Kursy przyjęte były przez słuchaczki z wielkim entuzjazmem, wzbudziły zrozumienie pracy społecznej i konieczność reform i ulepszeń w gospodarstwie kobiecym.

Szczególne ożywienie na kursie w Dobrej wywołał projekt sprowadzenia ulepszonej miedlarni lnu. Wyrażono paniom Zaborowskiej, Młodzianiowskiej i Skrzyńskiej serdeczne podziękowanie za zorganizowanie kursów i obecność na nich, a prelegentka na zakończenie obdarowana została bukietem pięknych róż.

Ziemianki, chcąc ułatwić kursistkom wycieczkę na wystawę do Liskowa, ofiarowały konie i wozy.

Wycieczka nie zebrała się jednak tak licznie, jak przypuszczano z powodu niepogody. Te jednak, które pomimo wielkiego deszczu wyruszyły z domu, zachwyciły się wystawą i mówiły, że warto było z dziesięć razy do suchej nitki przemoknąć, aby zobaczyć tyle pięknych i pouczających rzeczy.

A więc na wstępie: wzorowe urządzenie chaty włościańskiej, kuchnię z ulepszonymi naczyniami, pokój jadalny z białymi meblami i samodzielnym obrusem na stole i sypialnię.

Pokaz ten — wewnątrz wzorowej chaty zorganizowany został staraniem Wydziału Kół Gospodyń Wiejskich C. T. R.

Wyjaśnień w czasie wystawy udzielały panie Kaczyńska i Kazimierska.

Niezmiernie zainteresowanie wśród kobiet budził wspaniale przedstawiający się dział etnograficzny, zorganizowany przez niestrudzoną działaczkę na tempolu, p. Anielę Chmielińską.

Stroje ludowe, różne roboty, samodzielały, hafty, cudne wycinanki budziły zachwyt.

Przedstawiały się bardzo efektywnie dwie izby wiejskie z dwóch odmiennych okolic, jakby żywcem, zabrane. Jedna sieradzka urządzona przez zamożną włościankę, p. Gackową z mnóstwem płócien i samodzielałów własnej roboty, druga — łowicka — przez p. Chmielińską.

Salka, poświęcona hodowli jedwabnika wzbudziwszy wielką sensację wśród uczestniczek wycieczki pobudziła do rozważań na temat, czy produkcja jedwabiu (na razie może tylko surowca) nie okazałaby się wdzięczniejszą od mozolnej uprawy i uciążliwej, domowej przerwóbki lnu. I tu kobiety wiejskie, pomimo swego wielkiego konserwatyzmu, pozwoliły sobie na wysnucie jedwabnej nitki marzenia o lepszej i jaśniejszej przyszłości.

Wystawa prac dzieci 7-mio oddziałowych szkół powszechnych i przedszkoli, dalej niezmiernie pouczająco przedstawione zgubne skutki alkoholizmu i w „Sierocińcu“ pawilon, poświęcony higienie ogólnej oraz higienie matki i dziecka przykuwał oczy kobiet. Obdarowane broszurkami i drukowanymi przykazaniami, dotyczącymi zdrowia i fizycznego wychowania dziecka, powróciły do domów uradowane, z otuchą w sercach.

Korabianka

### Z ZIEMI PŁOCKIEJ.

Płock 25 lipca.

Dn. 10/VII odbył się w Płocku zjazd Stow. Ziemianek na który przyjechały członkinie Kół: bodznowskiego, bielskiego i drobińskiego. Zebranie, prowadzone przez p. Lucynę Kozłowską poświęcone było głównie sprawom dobroczynności, a mianowicie niesienia pomocy materialnej biednym dzieciom z przytułków w Płocku. Referowały obszerniej w tym przedmiocie przewodnicząca p. Kozłowska i p. Kisielewska przełożona miejscowego seminarjum nauczycielskiego. Rezultatem było opodatkowanie się zebranych darami w naturze na rzecz przytułku.

Dalszy ciąg zebrania wypełniło przemówienie p. Bogusławskiej w sprawie organizowania Kół gospodyń wiejskich, oraz prowadzenia oświaty pozaszkolnej wśród dorosłych przez odpowiednie kursy i pogadanki. W związku z powyższym odczytem na zaproszenie pań ziemianek prelegentka wyjeżdżała do kilku miejscowości dla zapoczątkowania tej pracy. Odbyły się dość liczne i udane zebrania kobiet wiejskich, zorganizowane w Bonisławiu przez p. Gościcką z Lelic, w Niegłosach przez p. Sułowską z Zalesia, w Proboszczowicach przez p. Górczyńską z Ogorzelic, w Pilichówku przez p. Szemplińską z Worowic i w Małej Wsi pod Wyszogrodem przez p. Jełowicką.

Zorganizowanych i prowadzonych stale Kół kobiet wiejskich w powiecie płockim mamy dwa. Jedno od roku przez p. Sułowską w Trzepowie, dobrze się rozwijające, drugie od 16 lat w Proboszczowicach przez p. Górczyńską. Członkinie drugiego kółka wykazują duże uświadomienie obywatelskie i wyrobienie. Interesują je bardzo żywo wszelkie sprawy społeczne, filantropijne i gospodarcze. Stowarzyszone miewają stałe zebrania co miesiąc we własnym Doim Ludowym który jest równocześnie wspólną własnością męskiego kółka rolniczego.

Proboszczowickie kółko ziemianek posiada na własność trzy morgi gruntu, otrzymane przed czterema laty z parcelacji donacyjnego majątku, na którym to kawałku ziemi ma zamiar założyć szkółki drzewek owocowych, tak bardzo potrzebnych dla małej własności w tej okolicy.

Kółko utrzymywało ochronkę (obecnie zmienioną na szkołę,) akuszerkę, bibliotekę, miało trupę teatralną amatorską, wykształciło kilkanaście uczenic w szkole gospodarczej w Mirosławicach. Członkinie kółka urządziły zbiorowe wycieczki do Warszawy, do Częstochowy i do szkół gospodarczych. Organizowane były dla kółka kursy higieniczne, na których wykładali zaproszeni lekarze. Z wybitniejszych prelegentek przyjeżdżały: p. Holder-Eggerowa posłanka, i popularna pisarka ludowa p. Smiszkowa (pseudonim Antoszka).

Obecnie wśród członkiń kółka proboszczowickiego jest żywy ruch w kierunku oświaty. Kształcąc swoje córki, pragną włościć im tutejsze wykierować je przeważnie na nauczycielki ludowe i wysyłają je w tym celu najchętniej do seminarjum plockiego. *Korabianko*

### PRACA SPOŁECZNA KOBIEC WIEJSKICH W POW. KONIŃSKIM.

Konin 18 lipca.  
W dniu 22 czerwca r. b. inspektor ubezpieczeń S. Kaczmarek zorganizował przy Kółku rolniczym w Kramsku (pow. Koniński, wojew. Łódzkie) Kółko ubezpieczenia żywego inwentarza. Pożyteczne to stowarzyszenie powstało głównie dzięki staraniom gospodyń wiejskich, które rozumiejąc doniosłe znaczenie inwentarza żywego w gospodarstwie małorolnym, na walnym zebraniu tego dnia zażądały ochrony zwierząt gospodarskich. Rezultatem zebrania było utworzenie silnego kółka, do którego zapisało się przeszło 50 właścicieli, zgłaszając 400 sztuk koni i bydła. Typ tego rodzaju ubezpieczeń ma doniosłe znaczenie w rolnictwie, gdyż kapitał umieszczany w żywym inwentarzu nie ma żadnego zabezpieczenia przed stratami, które wynosiły w Polsce dotychczas co najmniej 5%. *X. Z.*

### Nauka i Sztuka

— W Zjeździe Lekarzy w Warszawie wzięły lekarki nasze bardzo liczny udział. Wygłosiły też cały szereg referatów.

I tak:

O sprawach higieny szkolnej i wychowania fizycznego mówiły: dr. Germanówna i dr. Olszewska.

W sekcji nauk farmaceutycznych wygłosiła referat z działy botaniki i zoologii stosowanej p. Galasówna.

W sekcji higieny i mikrobiologii referowały dr. Feingówna i dr. Hornówna.

W sekcji medycyny sądowej wygłosiły referaty dr. Szulisławska ze Lwowa, dr. Kulikowska z Warszawy.

Wielka zainteresowanie wzbudził wykład dr. M. Grzywa-Dąbrowskiej „O samobójstwach młodzieży“.

W sekcji chorób skórnych i wenerycznych referowała dr. Landesówna.

W sekcji ginekologii i położnictwa mówiły dr. Sawicka i dr. Michalikowa.

— Na uniwersytet warszawski uczęszczało w r. 1924-5 ogółem 2947 kobiet.

Z tego na wydział prawny	369
„ „ lekarski	321
„ „ farmaceutyczny	131
„ „ filozoficzny	2009
„ „ weterynaryjny	5

Nadto wolnych słuchaczek uczęszczających na różne wydziały było 112.

Na wydziale filozoficznym ilość kobiet było wyższa od ilości mężczyzn (mężczyzn 1487). To samo na wydziale farmaceutycznym (mężczyzn 81). Na wszystkich innych wydziałach przeważała młodzież męska.

Ogólna liczba studentów i studentek uniwersytetu warszawskiego wynosiła 7947.

### Wiadomości Zagraniczne

#### STANY ZJEDNOCZONE.

— W stanie Arcansas, w mieście Winslow, podczas wyborów do Magistratu zwyciężyła lista kobieca, lansowana przez dziennikarkę, pannę Maud Duncan. P. Duncan obrana została burmistrzem, a wszystkie miejsca radnych miejskich zajęły kobiety. Listy inne pobite zostały kilkuset głosami większością. Podobno wielu mężczyzn z zapalem agitowało za listą kobiecą. Inne miasta amerykańskie mają zamiar wzorować się na Winslow.

— Pani Wilson w Lidze Narodów.

Wdowa po Prezydencie Wilsonie zaproszona została do wzięcia udziału we wrześniowej sesji Ligi Narodów. Zaproszenie zostało przyjęte.

#### ANGLJA.

W sprawie policji kobiecej.

— W Cambridge obradowało w lipcu stowarzyszenie: „Cooperative Woman Guild. Na zjazd przybyły również licznie cudzoziemki z różnych stron świata. Śród poruszanych zagadnień zajmowano się także kwestję policji. Wywiązała się używana dyskusja. Były wśród zebranych stanowcze przeciwniczki policji kobiecej. Po wyjaśnieniach jednak co do roli tej policji, uchwalono, że „Kongres w interesie kobiet angielskich popierać będzie policję kobiecą“.

### Przegląd Prasy

— „Głos Polek,“ organ Związku Tow. Polek, wychodzący w Katowicach, a zbliżony do Chrześcijańskiej Demokracji, zamiesza w Nr 6 prócz „Przeglądu Politycznego“ na wstępie, artykuły: „Sejm warszawski w sprawie reformy rolnej“ (Nazwanie Sejmu polskiego „sejmem warszawskim“ jest dosyć dziwne), „Jubileusz Polski“ ciąg dalszy, B. Szymkowiakówny, „Precz z wyrobami zagranicznymi,“ „Przykazania dla żon, szczególnie młodych,“ „Wystawa Ruchoma Wzorów przemysłu krajowego,“ „Rady kuchenne.“ W części literackiej spotykamy Krystyny Brudzińskiej „Zakopane“ L. Łakomskiego „Tatry“, K. Tetmajera „O Zwrytałowej muzyce,“ H. Sienkiewicza „Bartek Zwycięzca,“ St. Siemińskiej „Niepokalana“—wiersz.

Numer jest niezwykle obfity i ozdobiony ilustracjami.

— „Głos do Kobiet wiejskich“ Nr 14 zamieszcza P. Restorffowej „O Mszy Świętej“, M. Karczewskiej „Wpływ doboru kur na podniesienie nieśności.“ E. Borowskiej „Z życia Kół gospodyń wiejskich.“ Poza tem spotykamy wskazówki i porady gospodarskie, sprawozdania z książek i pism, oraz odpowiedzi na coraz liczniej napływające zapytania.

— „Dom Rodzinny“, dodatek do toruńskiej „Gazety Narodowej“ wprowadził dział, zatytułowany „Kobieta — Matka — Żona — Obywatelka.“ W dziale tym spotykamy ar-

tykuły: „O doniosłości stanowiska kobiety w rodzinie,” „Marja Skłodowska-Curie” i wskazówki gospodarskie.

— „Poradnik dla gospodyń wiejskich” Nr 13 drukuje artykuł p. t. „Miłość Macierzyńska” J. W. Kosmowskiej oraz „Wyrób win jagodowych.”

— „Dziennik Pomorski” dodaje co tydzień pisemko dla kobiet p. t. „Ognisko Domowe.” Spotykamy tam popularne artykułiki z dziedziny higieny, wychowania, gospodarstwa domowego—trochę beletrystyki.

— „Gazeta Poranna” (Lwów) wprowadziła na stałe dodatek tygodniowy p. t. „Kobieta w domu i w salonie.” W dodatku tym spotyka się przeważnie mody, kosmetykę, oraz porady gospodarcze. Obok tego, nieco lekkiej literatury.

— Wychodząca w Poznaniu „Prawda” w Nr. z dn. 22 lipca powstaje ostro przeciw fabrykantom łódzkim, którzy, chcąc uniknąć konsekwencji ustawy o ochronie pracy kobiet, usuwają masowo z zakładów swoich matki karmiące, a nawet wogóle mężatki, dążąc do uczynienia ustawy bezprzedmiotową.

— W pismach krakowskich rozgorzała polemika dokoła feljetonów p. Kornela Makuszyńskiego, umieszczonych w „Głosie Narodu”, a poświęconych „kobiecie”. P. Felicja Żurowska, na szpaltach „Głosu Narodu” pisze w liście do autora feljetonów:

„Chciałam Pana zapytać, co powiedziałby Pan o człowieku, któryby na prawo i lewo twierdził, że Makuszyńscy to szubrawcy, łgarze, lenie i t. d. Czy Pan nie oburzyłby się, wiedząc, że choć może takich na 100 jest 90, ale pozostali 10 Panu najbliżsi i Pan z nimi to ludzie bez skazy!”

„A pan” jakkolwiek w ostatnim swym feljetonie pisze, że we wszystkich swoich aforyzmach o kobiecie „natrzęsa się Pan z lichych imitacji kobiecości” z „papug różnokolorowych” z „malowanych lalek” i t. p. „a szanuje” Pan „kobiety godne szacunku”, to jednak zaraz potem następuje litanja sentencji o „kobiecie”.

— „Wiadomości Literackie” Nr 28 drukują Marji z Kossaków Pawlikowskiej liryki p. t. „Notatki” i Reginy Reicherówny „Nieudały Komentarz” oraz reprodukcje interesujących prac

uczennic Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych, Bogny Krasnodębskiej i Ireny Barczakówny.

— W „Echu Wybrzeża” (Puck) Nr 3, p. Zofja Śląska zamieszcza artykułik „O morze dla dzieci,” w którym omawia błogosławione skutki pobytu dzieci na kolonji letniej w Gdyni, założonej przez „Pomorskie Tow. Opieki nad dziećmi.” Na kolonji tej corocznie 600 dzieci korzysta z ożywczych wpływów morza. Autorka nawołuje do popierania tego towarzystwa. W Nr 4 tego tygodnika znajdujemy teje samej autorki szkic, poświęcony mowie kaszubów.

— „Dziennik Bydgoski” drukuje dłuższą nowelę Aliny Prus Krzemieńskiej p. t. „Romans Anny Ławniczakowej.”

## Z książek i wydawnictw

Dr. M. Bornstein-Łychowska: „Ochrona pracy pracowników handlowych i przemysłowych — odbitka ze „Świata Pracowniczego” nakładem zw. Zaw. prac. handlow. przem. i biur. m. st. Warszawy, Sienkiewicza 16. Cena 50 gr.

O broszurze tej piszę „Kurjer Polski”:

„Jedyna broszurka na rynku księgarskim, obejmująca rozwój i stan obecny ustawodawstwa ochronnego tej gałęzi pracy w różnych krajach, ze szczególnem, krytycznym uwzględnieniem ustawodawstwa, obowiązującego w Polsce.

Treściwe i jasne ujęcie przedmiotu przez osobę kompetentną umożliwi każdemu pracownikowi zapoznanie się z całokształtem pracowniczego ustawodawstwa ochronnego, co jest niezbędne przy niemal codziennie nasuwających się każdemu pracującemu wątpliwościach, odnoszących się do praw i obowiązków, wynikających ze stosunków pracy najemnej.

Do nabycia w Związku i księgarniach.”

— Alicja Bełcikowska: — „Stronictwa i Związki Polityczne w Polsce. Część ogólną opracował Jan Bełcikowski, część szczegółową Alicja Bełcikowska. Słowo wstępne napisał Adam Romer, Skład główny Sp. Akcyjna „Dom Książki Polskiej” — Warszawa, Pl. Trzech Krzyży 8. 1925.”

Jest to dzieło, obejmujące 1100 stron i jako jedyne w tym rodzaju,

a ułożone z drobiazgową ścisłością i możliwie bezstronnie, stanowi podręcznik, niezbędny dla wszystkich polityków, dziennikarzy, urzędów.

## Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Do Częstochowskiego powiatowego Koła Komitetu społecznego, zawiązanego z inicjatywy pani wojewodziny Manteufflowej weszły: doktorowa Roszkowska, doktorowa Wrześniowska i p. Dzierżbiecka.

## Kronika życia kobiecego

— Męczeństwo kobiet polskich w Rosji. Włochach czerewyczajki Mińskiej zamordowanych zostało w ostatnich tygodniach 9-ciu więźniów politycznych polaków, w tem: Jadwiga Szerńska, Helena Dutko, Weronika Gedroń, Janina Chomińska, Marja Focht. Więźniom tym nie udowodniono żadnego przestępstwa, wobec czego mieli być zesłani na Syberję. W ostatniej chwili zmieniono zarządzenie. Przed śmiercią znęcano się szczególnie nad kobietami.

Jeszcze bardziej wzruszająca jest tragedia p. Konwyrzanki, oskarżonej o szpiegostwo na rzecz Polski, a przed śmiercią męczeńską, torturowanej w sposób nieludzki. Również torturom poddana była Jadwiga Jackiewiczówna, 19-toletnia, która odwagą i dumą imponowała nawet sowieckim siepaczom. Odrzuciła propozycję apelacji. Ostatnie słowa jej na placu trawienia były: „Niech żyje Polska!”

— Na trudnym posterunku. Prezesem Straży Ogniowej Ochotniczej w Gorzkowicach (Małopolska) wybrana została p. Turbojska z Bujnic, ziemianka, właścicielka większego obszaru w najbliższej okolicy.

— Literatka włoska w Warszawie. W Warszawie przebywała w lipcu p. Beniamino, rodem z Turynu, autorka książki „Fili di ragno” i redaktorka dziennika „La Gazzetta del Popolo.” Przyjechała do Polski celem zawarcia umowy z Wł. Reymontem, którego dzieła tłómaczyć chce na język włoski.